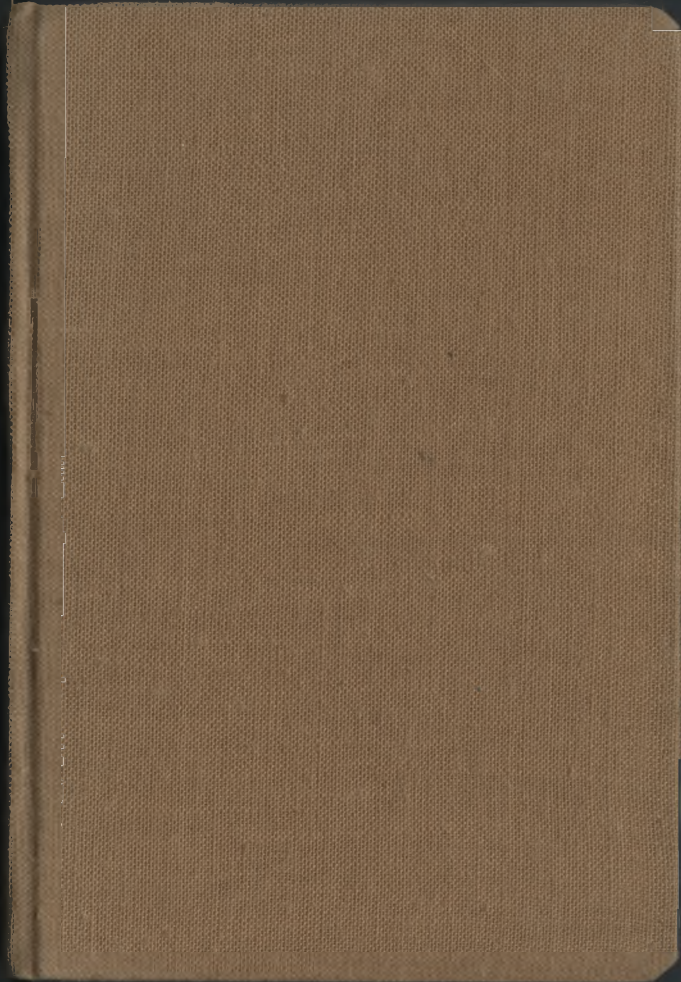
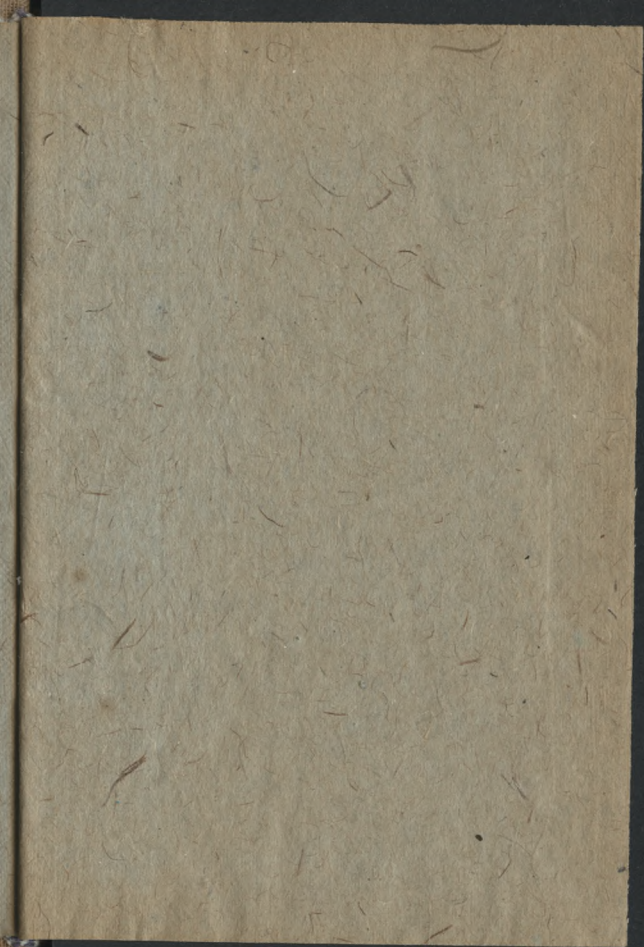
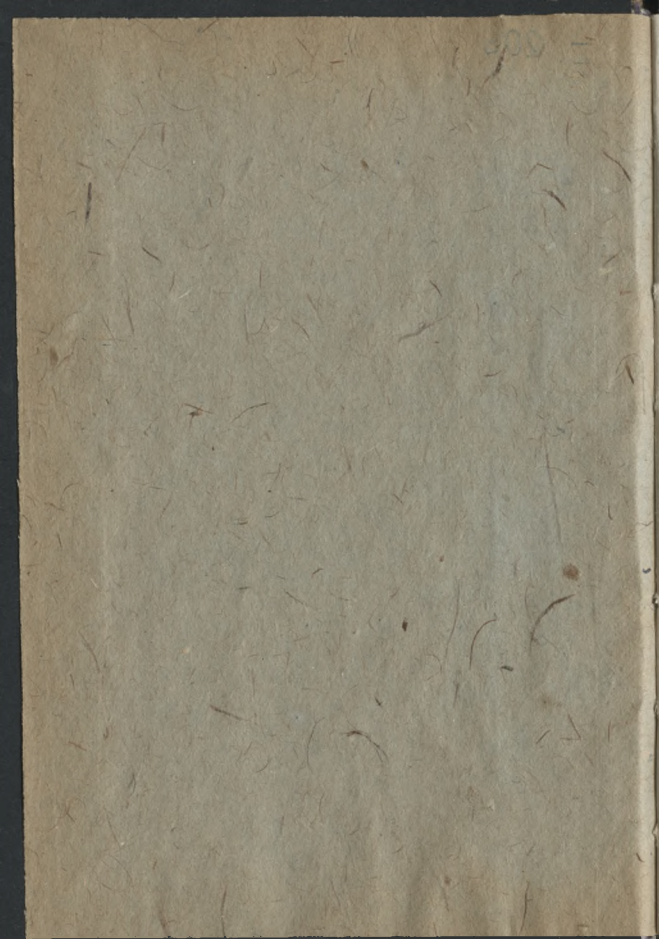










Z. 209980

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

REFORMY W WYCHOWANIU MORALNEM

ODCZYT PUBLICZNY

Izabelli Moszczeńskiej.



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1903

37.034 (042)

D

187/28
1972



Z. 209980

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Января 1903 года.

Reformy w wychowaniu moralnem.

Gdy chłopiec kończy lat 14, coraz częściej obija się o jego uszy natarczywe pytanie: „czem będziesz?”

W nieszczęsnem tem pytaniu, którem od początku nauki nieraz dręczyliśmy dzieci nasze i które je w całym ciągu życia szkolnego prześladowało, zawiera się niewypowiedzianie męcząca, gorączkowa troska rodzicielska o losy dziecka, nieodłączna od rodzicielskiej miłości gwałtowna chęć przewidzenia i uprzedzenia przyszłych wypadków, nadania przyszłości dziecka pewnego, z góry zamierzonego kierunku, tak, aby w chwili gdy nieuchronną losu koleją zostanie samo na świecie, własnym siłom pozostawione, ojciec i matka spokojnie zamknąć

D

187/28
1972



z. 209980

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Января 1903 года.

Reformy w wychowaniu moralnem.

Gdy chłopiec kończy lat 14, coraz częściej obija się o jego uszy natarczywe pytanie: „czem będziesz?”

W nieszczęsnem tem pytaniu, którem od początku nauki nieraz dręczyliśmy dzieci nasze i które je w całym ciągu życia szkolnego prześladowało, zawiera się niewypowiedzianie męcząca, gorączkowa troska rodzicielska o losy dziecka, nieodłączna od rodzicielskiej miłości gwałtowna chęć przewidzenia i uprzedzenia przyszłych wypadków, nadania przyszłości dziecka pewnego, z góry zamierzonego kierunku, tak, aby w chwili gdy nieuchronną losu koleją zostanie samo na świecie, własnym siłom pozostawione, ojciec i matka spokojnie zamknąć

mogli oczy, pewni, że dziecko ich raz wstąpiwszy na daną drogę, pójdzie po niej równo i gładko.

A jednak, ileż razy ta nadzieja, ta nieraz tak trudno zdobyta pewność — złudną się okazuje!

Bo cóż właściwie mieści się w tem pytaniu: „Czem będziesz?” do czego ono zmierza? Ot, poprostu do tego, by wybrać dla chłopca najprzód odpowiednią szkołę średnią, potem — o ile zdolności i chęci starczą, taką szkołę wyższą lub specjalną, któraby mu dała dyplom, patent, świadectwo wystarczające dla zdobycia kawałka chleba i przyzwoitego w życiu stanowiska.

Na tym dyplomie lub świadectwie, na otrzymanych cenzurach, a wreszcie na fachowej umiejętności buduje się całą przyszłość dziecka. Tysiąckrotne, bolesne nieraz doświadczenia nie nauczyły nas jeszcze, że to podstawa tak krucha jak lód marcowy, że fachowe uzdolnienie i stemplowane tego uzdolnienia dowody, są tylko bronią, są tylko jednym z narzędzi, którem człowiek w walce życiowej posługiwać się może, jeżeli się niem po-

niekoniecznie potrzebne. Cieszą nas i u nich dobre cenzury i stopnie, ale cieszy nas więcej ich rozkwitająca młodość, ich wdziek i towarzyskie przymioty.

Gdy chodzi o synów, liczymy na szkoły, gdy chodzi o córki, liczymy na pomyslnie okoliczności — ale nigdy nie liczymy na własne dzieci, myśląc o ich przyszłości.

I słusznie! Bo czyż wiemy, czem są nasze dzieci, co się w ich duszach dzieje, jakiego to rodzaju są ludzie, jak żyć chcą i jak żyć umieją? Do czego dążą, jak żyć pragną i jakimi środkami upragnione cele zdobywać chcą i mogą. Wiemy tylko, że nasze dzieci się uczą, a jak się uczą i czego, — wskazują nam cenzury.

Reszta jest wielką niewiadomą i dla nas i dla nich samych.

Przecież i one nie wiedzą, jak żyć będą, bo one wcale żyć nie próbowały. Po prostu nie mają na to czasu. Wstają rano, idą do szkoły, wracają, jedzą obiad i (w najlepszym razie) po godzinie przechadzki, zabierają się do przygotowania lekcji, a potem, jeśli lekcja muzyki, kon-

sze laboratorium nie odkryje mu jej zagadki. Rodzicielska troskliwość lub ofiarność społeczna może go przeprowadzić przez szkoły—ale szkoła nie zrobi go jeszcze człowiekiem.

Cokolwiek inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o dziewczęta; inaczej o tyle, że mniej mamy złudzeń i mniej też może doznajemy zawodów.

Wprawdzie i dziewczętom coraz częściej stawiamy analogiczne pytanie—ale je zwykle formułujemy inaczej. Rzadziej „czem będziesz” częściej zaś pytamy: „co będziesz robiła, gdy dorosniesz?” już przez sam układ zdania zaznaczając, że zdobyta zdolność fachowa, ani o wartości, ani o przyszłości naszej córki w oczach naszych nie stanowi.

Chodzi nam poprostu o to, czy znajdzie zarobek, i jaki, jeśli go potrzebować będzie.

Choć nie wypowiadamy tego ostatecznego zastrzeżenia, to jednak w duszy powtarzamy je zawsze, nigdy nie wyrzekając się nadziei, że może patent nauczycielski, że może świadectwo ze szkoły handlowej okażą się dla naszych córek

niekoniecznie potrzebne. Cieszą nas i u nich dobre cenzury i stopnie, ale cieszy nas więcej ich rozkwitająca młodość, ich wdzięk i towarzyskie przymioty.

Gdy chodzi o synów, liczymy na szkoły, gdy chodzi o córki, liczymy na pomyslnie okoliczności — ale nigdy nie liczymy na własne dzieci, myśląc o ich przyszłości.

I słusznie! Bo czyż wiemy, czem są nasze dzieci, co się w ich duszach dzieje, jakiego to rodzaju są ludzie, jak żyć chcą i jak żyć umieją? Do czego dążą, jak żyć pragną i jakimi środkami upragnione cele zdobywać chcą i mogą. Wiemy tylko, że nasze dzieci się uczą, a jak się uczą i czego, — wskazują nam cenzury.

Reszta jest wielką niewiadomą i dla nas i dla nich samych.

Przecież i one nie wiedzą, jak żyć będą, bo one wcale żyć nie próbowały. Po prostu nie mają na to czasu. Wstają rano, idą do szkoły, wracają, jedzą obiad i (w najlepszym razie) po godzinie przechadzki, zabierają się do przygotowania lekcji, a potem, jeśli lekcja muzyki, kon-

k którzy w szkołach mieli zawsze piątki ze sprawowania?

Któż to wie?

Nie nauczyciele, bo oni zawsze, jak zaręczają, sądzili sumiennie, i przyznawali piątki tylko tym uczniom, którzy na lekcjach zachowywali się cicho i impertynencją względem zwierzchności szkolnej nie pokalali swej uczniowskiej opinii.

Nie rodzice, bo ci pilnie śledzili stopnie w cenzurach i karali za każdą dwójkę, a w domu powtarzali ciągle: nie hałasuj, nie psoć, nie sprzeciwiaj się siostrze, nie drzej ubrania—nie przeszkadzaj ojcu, nie grymaś przy obiedzie i—ucz się,—słowem, robili co mogli.

A jednak dziecko się popsło! Któż je popsuł? Świat,—to znaczy cały zbiór zewnętrznych okoliczności, nieprzewidywanych — ale dających się przewidzieć, tych samych zresztą, które innemu dziecku nie przeszkodziły do wyrobienia się na dzielnego i zacnego człowieka.

Świat jest wielkim chaosem złych i dobrych przykładów, przerażających i pocieszających odkryć, mądrych zasad i prze-

wrotnych poglądów, doświadczeń i katastrof życiowych, budujących i brudnych wrażeń.

W ten wielki zamęt sprzecznych żywiołów puszczamy nasze dzieci. Co z niego mają czerpać, co odrzucić, do czego iść, od czego odwracać się ze wstrętem, kto ich tego nauczy? Może profesor historii lub łaciny? Może matematyk lub przyrodnik?

Nie liczymy na to! Wszystko, czego się dzieci nasze w szkole nauczyć mogą, może być przydatne w życiu, może być nawet niezbędne, ale z niem bezpośredniego związku nie ma.

Ani losy Cezara lub Napoleona, ani żadna matematyczna łamigłówka nie pouczą naszego syna, jak się ma zachować względem zwierzchników lub kolegów w biurze, względem dłużników i wierzycieli, służby domowej lub dzieci własnych.

Nawet taka, wprost na życie skierowana, bezpośrednie oddziaływanie na charakter mająca na celu nauka, jak nauka religji i moralności, sama przez się jeszcze czystości duszy i zacności czynów

nie gwarantuje, a nie gwarantuje dlatego—że jak inne szkolne nauki—jest tylko teorią, każda zaś teoria na życiową praktykę może oddziaływać, ale nie zawsze oddziaływa.

Trzeba sobie to doskonale uprzytomnić i do głębi się przejąć tem przekonaniem, że każdy nauczyciel—nie wyłączając księdza katechety—odpowiedzialnym może być tylko za to, co sam mówi i robi w klasie, ale nie za to, jak się jego słowa i uczynki w umyśle uczniów i w ich sercu odbijają. Jego słowa i jego postępowanie mogą być tylko — jednym z czynników, z których dziecko urabia nastrój swej duszy lub swe stałe usposobienie,—ale roli kierowniczej odegrać nie mogą.

Nie mogą tembardziej dziś, gdy mając po kilkadziesiąt uczniów w jednej klasie, a po kilkuset w każdej szkole, nauczyciel, przy największym talencie pedagogicznym, nie może przeniknąć ani nastrój umysłu każdego ucznia, ani pobudek jego postępowania.

I kiedyż może być pewnym choćby i ksiądz katecheta, czy ten lub ów uczeń,

słuchając jego wykładu, myśli o konieczności cnót, czy o ponętnych stronach przeciwnych im grzechów? Czy nęci go powab dobrych uczynków i pośmiertna za nie w niebie nagroda, czy tajemnica zawarta w niejasnej formule jednego z przykazań?

Wszystko to są tylko—słowa, słowa, słowa. Ponieważ zaś w życiu decydującą rolę grają nie słowa, lecz czyny, więc do życia nie przez słowa, lecz przez czyny przygotować się trzeba.

Szkola daje w tym kierunku bardzo małe pole; przez niezbędną karność, przez stały regulamin i porządek, (z innej strony nawet bardzo cenny czynnik w wyrabianiu charakteru) normuje ona i normować musi tak szablonowo i życie i postępowanie uczniów, że wprost zamyka sobie wstęp do wewnętrznych tajemników ich duszy, i na czysto zewnętrznych rezultatach poprzestawać jest zmuszona. Poznaje tylko ich stronę bierną, nie poznaje czynnej; ocenia posłuszeństwo—nie widzi inicjatywy.

To co stanowi stały nastrój człowieka jego wewnętrzną harmonją lub dyshar-

monję, dźwignię moralną, zakrój charakteru, sumienie, drugą naturę, — zbiór niewzruszonych, w życie wcielanych zasad i nawyknień, — to dać mu powinien i może tylko *dom rodzinny*, i to wyrabiać się w nim musi znacznie wcześniej, niż on do szkoły pójdzie, znacznie wcześniej, niż czytać zacznie.

Dobre nawyki, zdrowe zasady, czyste uczucia, szlachetne chęci, wszystkie życiowe i moralne siły rosnać muszą razem z dzieckiem, rosnać w niem i rozwijać się razem z jego mózgiem, nerwami, mięśniami. Ono nie powinno uczyć się ich na pamięć, ani nawet czysto rozumowo, ale niemi oddychać, niemi nasiąkać, w nich żyć, tak jak musi żyć w czystym powietrzu, jeśli ma mieć płuca zdrowe.

Tylko taka moralność, która wsiąknie w krew, stanie się jego własną, tak jak własnym jest jego system nerwowy, może być dla rodziców gwarancją, że ich dziecka świat nie zepsuje i życie nie złamie.

Do nabycia tej moralności prowadzi tylko jedna droga — przyzwyczajenie. Jak

nauki przyswajamy sobie przez pracę umysłową, tak cnoty wyrabiamy przez nawyknienie, które dla charakteru jest tem, czem pamięć dla umysłu.

Dlatego to właśnie w wychowaniu moralnem żadna teoria—religijna czy bezwyznaniowa, nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie zastąpi praktyki. Nie dość na tem, dodam jeszcze, że z wszelkimi teorjami moralnemi należy postępować niezmiernie ostrożnie, jestto broń obosieczna, i czasem więcej szkody niż pożytku przynosi.

Zarówno rozumowane wykłady o różnych grzechach i cnotach, jak zwłaszcza wszelkie wypracowania na tematy moralne, a nareszcie wzory kaligraficzne zawierające piękne sentencje, mogą niekiedy tylko odnieść ten skutek, że dzieci oswajają się z czczemi frazesami i umiejają się niemi z ręcznie posługiwać.

Jeżeli rozejrzemy się po świecie i przekonamy się, ile to już wzniosłych zasad spłowiło i zwietrzało wskutek ciągłego wywieszania ich na rynek, ile wspaniałych haseł sprofanowano wypisywaniem ich na szyldach nad pierwszym lepszym

kramikiem, jak skutek tego trudno jest już dziś wypowiedzieć słowo, któreby struny serc ludzkich targnęło i dobyło z nich dźwięk silny i czysty — zrozumie-my, jak szkodliwym chwastem właśnie na polu życia moralnego są puste mora-ły.

Zdaje się, że na tę niebezpieczną dro-gę wchodzi obecnie szkoła francuska. Szkoły świeckie, rywalizując z klasztorami, dążą do tego, by jaknajwiększy na-cisk kłaść na naukę moralności. Tą mo-ralnością drukowaną i pisaną przesycają wszystkie podręczniki, nie wyłączając podręcznika do zadań arytmetycznych. Ćwiczenia stylowe, gramatyczne, kali-graficzne, wypisy, wykłady historii, pełne są sentencji moralnych, a nauczyciele cieszą się, że moralność przenika całe nauczanie.

Nie pomijają nawet i praktyki. Ucz-niowie stale zachęcani bywają do do-brych uczynków wszystkimi środkami, jakimi szkoły rozporządzają. W niektó-rych istnieje np. księga złota, do której wpisywane bywają dobre uczynki ucz-niów, uczynki stwierdzone zeznaniem dwóch świadków i podpisem mera.

Niechaj nam ten obrazek ze szkoły francuskiej posłuży za przykład, co może dla wychowania moralnego zrobić system szkolny. Mimo najlepszych chęci, kończy na moralnym faryzeizmie.

Nie myślę bynajmniej twierdzić, ażeby teoria i rozumowanie nie miały mieć w wychowaniu moralnem żadnego zastosowania. Przeciwnie, wiem dobrze, że moralność zwyczajowa, moralność bezwiedna i automatyczna wystarcza tylko na powszednie życiowe stosunki, lecz zawodzi tam, gdzie w zmienionem położeniu nową drogę wykreślić sobie lub wybrać potrzeba. Moralność musi być świadoma, musi być myśląca i samodzielna, więc i dzieci od najwcześniejszych lat muszą się uczyć myśleć o tem, co złe i dobre, między jednym i drugim rozróżniać.

Tego tylko strzedz należy usilnie, aby dzieci rozumując, rozumowały nie o słowach, *lecz o faktach, o rzeczach przeżytych, lub co najmniej żywo odczuty.*

Niech się uczą zastanawiać nad tem, co robią same lub co się wobec nich dzieje, nad cierpieniami, błędami i krzywdami ludzkiemi, nad tem, co łyzy wyciska,

śmiejch lub radość budzi, nad tem co drogie i upragnione, lub co wstrętne i odrażające,—ale nie nad napisaniem wzruszającego wypracowania na rzymską piątkę. Cnota powinna być dla nich świętością, którą się ani bawić ani popisywać nie wolno.

W jaki zatem sposób uczyć dzieci dobrego?

Odpowiedź prosta: przyzwyczajać do dobrego postępowania!

Dzieci powinny nabierać wprawy w dobrych uczynkach; poczynawszy od najwcześniejszego dzieciństwa; a nakłaniać je do tego można nietyle nawet przez słowną zachętę, ile przez przykład i sugestię.

Mówiąc o dobrych uczynkach, nie mam wyłącznie na myśli uczynków miłosiernych, lecz wogóle zacne i szlachetne postępowanie.

W tym kierunku robi się w rodzinie stanowczo za mało, a to, co się robi—robi się przeważnie źle.

Na razie zaznaczę tu jeden błąd wychowawczy. Nieomal cały kodeks moralny dziecka — na wzór kodeksu prawnego—złożony jest z samych przeczeń: „Nie krzycz“, „nie grymas“, „nie bij

siostry“, „nie dokuczaj słudze“, „nie niszcz ubrania“, „nie psuj zabawek“, „nie budź taty“ i t. d. i t. d.

Oto mniej więcej przykazania, które staramy się od rana do wieczora utwierdzać w głowie dziecka. Jeżeli zaś zmęczony ciągłymi zakazami, malec zbliży się do mamy i spyta „co mam robić?“ nieraz usłyszysz w odpowiedzi: „Nie nudź mnie“. Więc znowuż przykazanie w formie przeczącej!

Ta moralność zatem, którą dom od najwcześniejszego dzieciństwa w nas wpaja, jest prawie wyłącznie negatywna i to póty, póki nie wejdziemy w okres szkolny, kiedy to posłyszymy poraz pierwszy przykazanie pozytywne „ucz się“.

Cały ten system opiera się na najzupełniejszej nieznajomości natury dziecka i przeczy jej najelementarniejszym potrzebom.

Tkwi w niej przedewszystkiem potrzeba ruchu i potrzeba czynu. Dziecko chce żyć, swą energję życiową nazewnątrż wyczerpywać; jeżeli my oddziaływając na nie, przeciwstawimy mu same hamulce, a nie nastreczymy żadnej podniety,

bezwarunkowo wywołamy opór, sobie i jemu utrudniając zadanie. Jeżeli władza nasza rodzicielska zasadzać się będzie na samych ograniczeniach i zaporach, stanie mu się ona równie niemiłą, jak i zasady, w imię których działa. Może nawet zmusimy dziecko do uległości i posłuszeństwa, ale zmusimy zewnętrzną powagą, zamiast skłonić wewnętrznem przekonaniem.

Pomijamy i przeoczamy fakt pospolitoty, który niezmiernie łatwo sprawdzić się daje, że otwierając dziecku pożądane pole działalności i pożądaną sferę zainteresowania, odrazu, bez wysiłku powstrzymać możemy działalność szkodliwą i zainteresowanie zgubne. Nie o to chodzi, żeby nieustannie dzieckiem kierować, cały plan jego zajęć mozolnie układać i systematycznie wykonywać, lecz o to, by w każdej epoce życia wzmacniać w niem i potęgować wszystkie pobudki uczciwego postępowania i pożytecznego zatrudnienia.

Czyż byłoby rzeczą tak trudną np. zamiast mówić „nie bij siostry” lub „nie sprzeciwiaj się siostrze”, powiedzieć cza-

sem: „Prawda, że kochasz siostrzyczkę? zrobisz jej przysługę, a sobie przyjemność, jeśli jej pomożesz ułożyć zabawki, albo pokażesz jej i objaśnisz obrazki, albo opowiesz jaką historję.

Skutek osiągniemy znacznie lepszy i bez porównania łatwiej. Najprzód dlatego, że działając na dodatnie uczucia dziecka, (np. na przywiązanie do rodzeństwa i ambicję uczynienia czegoś pożytecznego) potęgujemy je, następnie i dla tego, że uczucia najlepiej się wyrażają i utrwalają przez działanie pod ich wpływem, a wreszcie i dlatego jeszcze, że skłaniając dzieci do usług wzajemnych, wpływamy dodatnio na jedno i drugie zarazem, na jedno przez zachętę, na drugie przez dobry przykład, zmniejszając już przez to samo ilość przyczyn powodujących kłótnie i spory.

System pozytywnego wpływu okazany na tym przykładzie, zastosować się da we wszystkich kierunkach moralnego wychowania, w miejsce dziś ogólnie panującego systemu negatywnego. Wyższość jego w każdym wypadku na tych samych opiera się podstawach.

Dużo się mówi o panowaniu nad sobą, lecz ludzi umiających nad sobą panować, widzimy stosunkowo bardzo mało.

Dlaczegoż się tak dzieje?

Zdawałoby się, że system wychowania moralnego do obecnej pory stosowany powszechnie, choćby inne cnoty odłogi pozostawiał, tę jedną rozwijać powinien.

Wszędzie, to wszystko, co się liczy na karb dobrego postępowania dzieci, jest prawie wyłącznie i jedynie owocem panowania nad sobą, tak zwanej karności, tak ogólnie cenionego posłuszeństwa. Jak grzeczniemi dziećmi są w naszych oczach takie, które do tego stopnia hamują swe naturalne skłonności, że ich prawie wcale w domu nie znać, tak wzorowym uczniem jest właściwie wobec sądu nauczycieli ten, o którego postępowaniu niema nic do nadmienienia t. j. ten, który wszystkie swe uczynki ściśle według regulaminu normuje!

Nie wymagamy nieomal niczego innego, prócz panowania nad sobą. A jednak rezultaty są wogóle liche.

Dzieje się tak poprostu dlatego, że zasadę panowania nad sobą bierzemy czy-sto formalnie, nie wnikając w jej treść.

Czy chodzi tu o to, żeby tłumić i unie-cestwiać wszystkie wrodzone instynkty, panować nad przywiązaniem do matki, upodobaniem do porządku, zamiłowaniem do matematyki?

Bynajmniej! to znaczy tylko dawać sta-le przewagę swoim dobrym skłonnościom nadzłemi; jeżeli zaś nic nie czynimy dla spotęgowania, rozwinięcia i ustalenia skłonności dobrych, jeśli—zamiast uczy-nić z nich dla dziecka stałą wewnętrzną dźwignię moralną, zawsze podstawiamy w jej miejsce—zewnątrzną podpórę na-szych praw i przepisów, naszej woli i na-kazów, to w czymże ono ma znaleźć oparcie, w czym siłę do zwalczenia swego gorszego ja,—gdy nasza władza i opieka ustaną?

Pośpieszam dodać: prawa i przepisy są konieczne, ważne, niezbędne, powin-ny być nawet stałe i niewzruszone,—ale pozostaną zawsze tylko środkiem tym-czasowym.

Trzeba o tem zawczasu już pamiętać, by przygotować w duszy to, co je z czasem zupełnie zastąpić musi—*dobrą wolę—sumienie*.

A zatem trzeba w dziecku od pierwszych chwil życia wyrabiać sumienie t. j. stałą miarę moralną do ocenienia wszystkich swoich i cudzych uczynków, własnych ukrytych intencji i społecznych zjawisk.

Taką miarę moralną stanowić muszą pewne ogólne, niewzruszone zasady, w świetle których na świat patrzymy; nie zasady drukowane, pisane, wygłaszane, lecz zasady wcielane w życie, słowa, które stają się ciałem! Jeżeli dziecko ma się niemi przejąć, zgodnie z niemi żyć, musi zawczasu przywykać do tego, że one nie są martwą literą, musi się wciąż z niemi w praktyce, w wykonaniu spotykać.

Nie, to co starsi mówią, lecz to, co robią, jest dla dziecka nauką życia.

Ale tu jawia się najpoważniejsza trudność.

Bo naprawdę, czy my chcemy, aby nas dzieci naśladowały?

Czy mamy takie żyjące, w czynach, nie w słowach wyrażane i stwierdzane zasady? Czy one życiem naszym rządzą?

Niestety, nie!

Życiem naszym wogóle rządzą pewne ustalone zwyczaje, czasem bardzo bezmyślne, czasem bardzo niedorzeczne i szkodliwe, a zawsze będące poprostu owocem naśladownictwa. Robimy to, co drudzy — a drudzy to, co my. Nie postępujemy ani tak, jak nam każe religja, ani tak jak każe prawo, ani tak jak nakazuje rozum i uczucie — ale tak jak „się postępuje” w danym wypadku.

Weźmy pierwszy lepszy przykład. Jakiś porywczy człowiek wymierzy nam policzek. Religja każe nam wybaczyć, prawo pozwala skarżyć o czynną obrazę, rozum nakazuje ukarać, albo unikać danego indywiduum.

Ale my robimy co innego. Stajemy na mecie i pozwalamy mu strzelać do siebie. Dlaczego? Bo tak się robi. Jest to tylko trochę dosadniejszy przykład z pośród tysiąca innych — analogicznych.

Nieokreślone, nieosobiste — *«tak się*

robi» jest naszym jedynym i wyłącznym przykazaniem, rządzi nami. Każe nam czasem być dobrym, rzetelnym, uczciwym, miłosiernym, a czasem złym i okrutnym. Świadczy ono o tem, jak wielką jest potęga zwyczaju i przykładu, i powinno być dla nas ostrzeżeniem, że tylko przez przyzwyczajenie i przykład charakter naszych dzieci urabiać możemy.

Tam, gdzie jakiegoś ustalonego zwyczaju niema, lub też w wypadkach, których do powszedniej normy przymierzyć nie można, postępowanie nasze jest dziełem przypadku, chwilowego porywu, dobrego natchnienia lub ślepego popędu. I tem się to może właśnie tłumaczyć, że ludzie ucywilizowani i porządni, przeniesieni w sferę odmienną od tej, w której wzrosli, w inne kraje lub niezwykle stosunki, tak szybko zrzucają z siebie zewnętrzny pokost cywilizacji i przestają być porządnymi. Tem się też może wyjaśnia, że jakikolwiek niepomysłny zbieg okoliczności, pierwsza lepsza próba życiowa lub co gorsza, przełom, odrazu wytrąca z równowagi, wykołaja, doprowadza do rozbicia.

Gdybyśmy chociaż w obrębie tych codziennych, powszechnie panujących zwyczajów, mogli się ćwiczyć konsekwentnie w jakichś drobnych cnotach, to mielibyśmy jaką taką gwarancję, że dzieci naśladowując nasze postępowanie, wyrobią w sobie przynajmniej w pewnym kierunku niewzruszoną zasadę, która im się na coś przydać może.

Ale tak nie jest, zwyczaje nasze pełne są sprzeczności i urągających wszelkiej logice zestawień, a co najmniej połowa naszych postępów przeczy zasadom, które rozumem i słowami wyznajemy.

Sama ta niezgodność zasad i czynów już jest złym zwyczajem, który podkopuje wszelką budowę charakteru, jest rozdźwiękiem, fałszem — i właśnie ten fałsz dzieci najszybciej podpatrzą i najłatwiej się nim przejmują. Dajemy im do tego tysiące okazji.

A zatem chcąc zreformować wychowanie moralne naszych dzieci, musimy przede wszystkim poddać krytycznej rewizji nasze własne postęпки, nasze ideały moralne, czynami wyznawane, i musimy wyplenić z nich fałsz. Będzie to rzeczą

trochę trudną, gdyż, niestety, fałszem prześiknięte jest nasze życie.

Kłamiemy czynem i słowem, miną i ubraniem. Kłamiemy dla uniknięcia niebezpieczeństwa, lub dla utrzymania dobrej o sobie opinii, dla zjednania sobie życzliwości ludzkiej, lub dla wprowadzenia ich w dobry humor, dla oszczędzenia kilku groszy na sprawunku lub kilku rubli na bilecie kolejowym; przez ostrożność, przez grzeczność, przez przyzwoitość, przez tchórzostwo lub chciwość, przez współczucie i przez wyrachowanie, przez błagę i próżność — kłamiemy zawsze i na każdym kroku.

Dzieci nasze wprawdzie strofujemy i karzemy za kłamstwo. Ale cóż to pomoże? Bez względu na nasze kary i napomnienia, robić będą to, co wszyscy, co mama, tata, goście, sługi, to, co „się robi”.

I nie to wreszcie jest smutne, odrażające i przerażające zarazem, że w jakiejś drobnej obojętnej okoliczności ktoś się od nas prawdy nie dowie, lecz to, że wskutek przyzwyczajenia, kłamstwo żadnej nie robi nam różnicy, że nam nie sprawia najmniejszej trudności mówić

nie to, co jest prawdą, ale to, co nam na razie potrzeba.

Wskutek zwyczaju, bezmyślnie kłamiemy nawet tam, gdzie i rozsądniej i pożyteczniej byłoby powiedzieć prawdę.

Weźmy drobny przykład. Przychodzi do mnie gość nie w porę, naprzykład, gdy mam pilną, nie dającą się przerwać pracę. Dla czegoż zamiast ogólnie przyjętego: „Pani niema w domu”, nie miałabym kazać powiedzieć: „Pani jest zajęta i z nikim widzieć się nie chce”.

Rozsądny człowiek nie obrazi się o to, a nierozsądnych gości pozbędę się tem skuteczniej. Dając taką odpowiedź, wyrażam zarazem szacunek i zaufanie dla tych, co mnie odwiedzają, wiarę w to, że pracę mą uszanują, a ze słowami memi liczyć się będą.

W praktyce jest to napozór drobnostka, ale i ona już okazuje ujemne skutki kłamstwa, które podkopuje przedewszystkiem ufność wzajemną między ludźmi, szacunek dla drugich i szacunek dla samego siebie. Kto kłamie, ten się albo boi, albo wstydzi; i jedno i drugie jest uczuciem poniżającym i oswaja nas z własną mier-

notą moralną. Kłamstwo przeczy odwadze i znosi poczucie moralnej odpowiedzialności, osłabia nasze dobre skłonności, a złym zapewnia bezkarność.

Gdybyśmy nie umieli kłamać, gdyby mówienie nieprawdy sprawiało nam wprost fizyczną trudność i przykrość, liczylibyśmy się ściślej z postępkami i myślami naszemi. Doznawalibyśmy takiego samego uczucia wstydu i upokorzenia na myśl o popełnionem kłamstwie, jak dziś na myśl o kłamstwie wykrytem. Lękalibyśmy się własnego sądu, nie mniej niż sądu ludzi, szanowalibyśmy siebie nie mniej niż opinię publiczną, mielibyśmy odwagę własnych czynów, bylibyśmy sobą w każdej chwili życia naszego, a niezasłużenie odbierane pochwały bolałyby nas bardziej, niż niewinnie znoszona obmowa, bolałyby nas jak popełnione oszustwo.

Mieć odwagę własnych czynów i śmiało za nie przyjmować odpowiedzialność, być sobie samemu sędzią i panem, świadomie rządzić sobą i sobie sprawiedliwość wymierzać—to znaczy mieć *charakter*.

Chcąc dzieci nasze takim charakterem uzbroić, powinniśmy zatem przedewszystkiem przyzwyczajać je do prawdy.

Pierwszym i niezbędnym krokiem w tym celu byłoby przestać je okłamywać.

Jest rzeczą wprost zdumiewającą, jak niesumiennie w tym względzie postępujemy wobec własnych dzieci. Nic nas to nie kosztuje łudzić je kłamliwymi obietnicami, straszyć pogrozkami, które się nigdy spełnić nie mają, oszukiwać dla żartu, dla zabawienia się ich naiwnością, odpowiadać lichy skleconą bajeczką na ich najpoważniejsze pytania, wszelkimi sposobami wyzyskiwać ich dziecinną łatwowierność.

Mamy przed sobą istotkę słabą, bezbronną, nieświadomą; ona zwraca się do nas z bezgraniczną ufnością, szczerą, prostą, wolną od wszelkich podejrzeń, widząc w nas uosobienie mądrości i siły, źródło wszelkiego światła i wszelkiej wiedzy, a my bez zająknięcia się, bez rumieńca wstydu — okłamujemy ją!

Nie umiemy uszanować w dziecku człowieka, a w sobie świętości rodzicielskiego powołania.

Niektóre kłamstwa wobec dzieci stały się wprost systemem, bardzo zgubnym i szkodliwym systemem, na którego usprawiedliwienie zresztą nic innego nadmienić nie można, jak to, że jest on ogólnie przyjęty,

Jakże naturalną, jakże zrozumiałą jest ciekawość dziecka, które zwraca się do matki z pytaniem, skąd się ono znalazło na świecie, albo skąd przyszło na świat jego rodzeństwo? Na to całkiem poważne pytanie, którego żaden rozwijający się zdrowo umysł dziecięcy pominąć nie może, odpowiada się dziecku jakimś niedorzecznym żartem o bocianie na przykład. Dla czego? Czy istotnie mamy to przekonanie, że dziecko prawdy się nigdy nie dowie, i że nas na popełnionem kłamstwie nie złapie? Czy mamy zamiar kiedykolwiek, w jakimś z góry oznaczonym terminie kłamstwo odwołać i powiedzieć: „Słuchaj, póki byłeś mały, zbywałam cię byle czem, ale teraz powiem ci naprawdę, jak się rzeczy mają”.

Broń Boże! Wiemy doskonale, że sekret się nie utrzyma, że prędzej czy

później dziecko nasze prawdę odkryje, ale jak? i kiedy? — o to nie troszczymy się bynajmniej. Nie śmiemy się nawet pytać ani dowiadywać.

Okłamaliśmy dziecko, zawiedliśmy jego zaufanie, z góry przygotowani na to, że ono nigdy nie powróci. Systematycznie z zasady oszukiwane przez własną matkę, nigdy nie przyjdzie już do niej po wyjaśnienia, po sprostowanie otrzymanych skąd inąd informacji. Owocem naszego pierwotnego kłamstwa będzie w umyśle dziecka przekonanie, że mama kłamała, bo się wstydzi — wstydzi się tego, że je na świat wydała, że jest jego matką.

Kłamstwo zraża ufność dziecka i w oczach jego poniża matkę; profanuje i plami najświętsze węzły, jakie ludzi z ludźmi łączą: przywiązanie macierzyńskie i cześć synowską. Wprowadza ono odrazu fałsz i rozdźwięk w stosunki rodzinne i jest pierwszym zarodkiem tego wprost przewrotnego sposobu traktowania najważniejszych spraw życiowych, które wszystkie nasze stosunki moralne zatruwa.

Jakże inny charakter przybrałby cały stosunek dziecka do matki i cały jego moralny nastrój, gdyby na pierwsze takie pytanie swoje odebrało odpowiedź ogólnikową może, lecz zgodną z prawdą, wraz z obietnicą dalszych informacji i z zastrzeżeniem, aby nigdy z kim innym prócz matką o danej kwestji nie rozmawiało.

Zamiast nieprzełamanej zapory nieufności i podejrzeń wzajemnych powstałaby między nimi nowa spójnia poważnej tajemnicy, a stosunek fizyczny z matką tak ściśle w umyśle dziecka skojarzyłby się ze stosunkiem duchowym, ze wspomnieniem jej opieki i poświęceń, jej troskliwości i przywiązania, mądrości jej słów i świętości jej czynów, że nigdyby już nie mógł się stać przedmiotem grubych żartów i koleżeńskich poufnych szeptów.

Prócz tego dziecko począwszy od pierwszego brzasku rozumu nauczyłoby się rzeczy poważne traktować poważnie, aby kiedyś na węzły rodzinne nie patrzeć ze stanowiska pieprznej operetki i dwu-

znaczných dowcipów, lecz z punktu widzenia czystych i budujących wspomnień pierwszego dzieciństwa, i to właśnie byłoby dla niego na całe życie nieocenioną zdobyczą moralną.

To pierwsze niebaczne, lekkomyślne i grzeszne kłamstwo popełniane przez rodziców względem dzieci, jest bardzo znamienitym objawem całego naszego porządku — a raczej nieporządku moralnego, opartego na hipokryzji i fałszu, — tego porządku, w którym zewnętrzna przyzwoitość zastępuje do głębi serce przenikającą moralność i jest bardzo wygodnym parawanem najgrubszego zepsucia.

Skromność każe nam milczeć o złem, na które codziennie patrzymy, lecz nie pozwala mu zapobiegać; skromność każe nam symulować nadludzkie cnoty i tolerować nieludzkie występki. Przyzwoitość nakazuje pani domu za niemoralne prowadzenie się wyrzucić na bruk młodą sługę, którą uwiódł może ktoś z bardzo porządných i mile w domu widzianých ludzi, zmusza tę sługę, by dziecko swe ukryła u jakiejś fabrykantki aniołków, która je głodem zamorzy, a nie wzbrania

innej pani przyjąć ją do domu jako mamkę.

Ileż smutnych i bolesnych sprzeczności w tym małym obrazku?! A jednak któż zaprzeczy, że jest on dosyć pospolity, że *«tak się robi?»*

I jakżeż wymagać, jakże się spodziewać możemy, by dzieci nasze wśród tego chaosu wprost sprzecznych i zwalczających się zasad, same sobie drogę obrały, nie zachwiały się na niej i nie upadły? Czy dajemy im wskazówki i jakie? Czy tłumaczymy im życie, w które wstępują?

Broń Boże! całą ich moralność zaszczepiamy na nieświadomości — czyli na przypadku.

We wszelkich innych kwestjach naukowych i praktycznych nie szczędzimy im wskazówek. Gdyby się przekonano, że dziecko nasze dorósłszy nie wie, że jadąc do Anglii, trzeba się przeprawiać przez morze, oskarżonoby nas o karygodne zaniedbanie jego wychowania.

Nikt jednak nie wymaga od nas, byśmy naszej dorastającej córce powiedzieli, że chcąc być matką, trzeba przejść przez cierpienie, a naszemu synowi, że

chcąc mieć zdrowe dzieci, trzeba swoją młodość szanować. A przecież prawdopodobieństwo, że dzieci nasze zwiedzą Anglję, jest względnie nie wielkie, podczas gdy posiadamy nieomal pewność, że przyjdzie chwila, gdy zapragną stworzyć sobie własne ognisko rodzinne.

Chwila ta przewidywana przez nas, dla nich powinna zostać tajemnicą, niespodzianką, katastrofą — czasem bardzo smutną katastrofą, dzięki naszemu karygodnemu niedbalstwu!

Synom naszym dajemy milczące pozwolenie na robienie odkryć i wynalazków na własną rękę. Księgę zaś naszych doświadczeń i obserwacji życiowych wstydliwie i skromnie zamykamy przed nimi. Świadomość złego i dobrego czerpią oni u najmętniejszych źródeł; wiemy o tem i zamykamy na to oczy.

Wiemy i o tem, że nie jeden z nich puszczony tak bezbronny na fale życiowe tonie, zanim od brzegu odbije, wiemy że wpośród nas snuje się mnóstwo takich młodych rozbitków, którzy stracili siły, odwagę i chęć do życia, zanim żyć zaczęli, że świat, ten świat, w którym dla nich

nie ustawiliśmy żadnych drogowskazów, okradł ich na samym wstępie z całego ich życiowego bogactwa, zrabował im wszystkie skarby ich młodości, poniżył lot ich ducha, zbrudził ich młodą wyobraźnię, wyziębził im serca, odebrał im wiarę w siły własne i wiarę w przyszłość, w błocie pogrążył to, co powinno było być dla nich świętą relikwią i talizmanem szczęścia.

Tego wszystkiego jesteśmy świadomi, a jednak ryzykujemy. Gdyby synowi groziło naprzykład zarażenie się szkarlatyną pobladłby ojciec i struchlałaby kochająca matka, a oboje otoczyliby go gęstą siecią środków ochronnych i zapobiegających, byle tylko zdrowie i życie jego uratować. Ta przesadna nieraz pieczołowitość i ostrożność milknie tam, gdzie chodzi nie tylko już o życie syna, lecz i o to, co życiu temu wartość nadaje. Dajemy im swobodę, lecz dołączamy do niej nieświadomość, która wprost ujemne tylko jej daje znaczenie. Jest to swoboda dziecka pozostawionego na otwartym oknie trzeciego piętra z poleceniem: „Baw się”.

Tak też bawią się nasi chłopcy ryzykując skrócenie karku. Im samym już się przykrzy ta zabawa i zaczyna ich przerażać. Coraz częściej z kół młodzieży samej odzywają się głosy skargi i głosy tęsknoty za jakimś odrodzeniem moralnem.

Możeby chociaż teraz ojcowie i matki z pomocą im przyszli?

Cokolwiek inaczej traktujemy wychowanie moralne naszych dziewcząt. Wprawdzie i im także nie tłumaczymy i nie objaśniamy życia, i ich także przed żadnem nie ostrzegamy niebezpieczeństwem, ale nie dajemy im tej co chłopcom swobody.

Na straży ich cnoty stawiamy nie ich własny rozum i charakter, nie ich świadomą swego celu i dróg wolę, lecz najprzód ścisły dozór nauczycielek, a później konwenans światowy. Uczymy ich w pierwszym rzędzie wszystkiego się lękać i ze wszystkim ukrywać. Ażeby odpowiedzieć naszym moralnym ideałom muszą stłumić wszystkie swe wrodzone instynkty, począwszy od chęci przewracania koziołków i drapania się po płotach,

aż do wyznania miłości, które im się ciśnienie na usta wobec ukochanego człowieka.

Kształcimy je niby to na żony i matki, ale nie pozwalamy im nawet domyślać się, co to znaczy być żoną i matką; jeżeli zaś się domyślają, trzeba przede wszystkim, aby się z tem nigdy w żadnym wypadku nie zdradziły. Systematycznie i mozolnie wyrabiamy w nich w ciągu całej ich młodości takie cnoty, których się na zawołanie w ciągu 24 godzin pozbyć będą musiały i wytwarzamy w ich umysłach takie pojęcie o życiu, które z rzeczywistością najmniejszego nie ma związku.

Ich wartość moralną, ich cnotę traktujemy nie jako rzecz zależną od ich wewnętrznej treści, od ich uczuć i myśli, z ich postępowaniem związaną i z niego wynikającą, lecz jako okoliczność zewnętrzную zaważowaną sytuacją towarzyską, położeniem rodziców, uprzejmością i szacunkiem znajomych.

Wiersz Kochanowskiego o cnocie, której nie wydrze nieprzyjaciół srogi, nie spali ogień, nie zabierze woda nie odnosi się do naszych kobiet. Nietylko „nie-

przyjaciół srogi” ale przyjaciel podstępny wyrzucić ją może, plami ją i nadwiera nie to, co same robią, lecz głównie to, co o nich mówią.

I dla tego to dziewczęta wychowujemy w pobożnej bojaźni przed opinią ludzką, stawiając je nieustannie od pierwszego dzieciństwa wobec strasznego pytania: „Co ludzie powiedzą? Co o tobie pomyślą?”

Tym sposobem pielęgnujemy w nich starannie dwie kardynalne zalety: próżność i obłudę. Przyzwyczajamy, by się nigdy nie przyznawały do niczego — ani do swych pragnień, ani do swych zamiarów, ani do liczby lat, ani do ilości wprawionych zębów.

Kobieta, która mówi prawdę, a zwłaszcza, która mówi prawdę o sobie, jest i dziś jeszcze poniekąd unikatem i to unikatem, budzącym raczej śmiech niż podziw. Wychowanie moralne naszych dziewcząt jestto sztuczna hodowla sfinksów, tem osobliwszych, że nietylko trudno je zrozumieć, lecz i one same siebie nie rozumieją.

Nie dzieje się to przypadkiem ale dla zasady.

Zasada ta jednak nie jest właściwą choćby dla tego, że w obecnych warunkach w żaden sposób utrzymać się nie da. Od chwili, gdy kobietom dano naukę, gdy zażądano od nich pracy, niepodobna im przeszkodzić żyć i myśleć i to myśleć nietylko o estetyce, literaturze lub buchalterji ale także o stosunkach życiowych.

Ich nieświadomość, ich naiwność jest coraz większym fałszem, a ich nieprzystosowanie do rzeczywistych warunków wywołuje coraz większy rozdźwięk w ich duszy. Zaopatrzone w cnoty zbyteczne, nieuzbrojone w konieczne i niezbędne, nie umieją się przystosować do otoczenia i stąd powstaje pewien niesmak do życia i niesmak do samych siebie. Ileż z nich żałuje, że się porodziły kobietami!

A czyż to jest naturalne, czyż to jest pożądane?

Czyż byłoby to tak powszechne, gdyby one umiały być sobą i gdyby świat nauczył się ich kobiecą indywidualność szanować? Jakżeż często powstaje wstręt do małżeństwa i do macierzyńskich obowiązków u najdzielniejszych i najbardziej

myślących jednostek kobiecych, u tych, którymby ich potomstwo najwięcej życiowych bogactw zawdzięczać mogło!

Dwoiste wychowanie, którego treściwy obrazek skreśliłam, jest ściśle związane z panującym *systemem podwójnej moralności*.

Jakkolwiek system ten jest takim teoretycznym absurdem i fizyczną niemożliwością, że z konieczności wywołuje moralność potrójną, a raczej tolerowany i uznany występki jako swe dopełnienie, to jednak otoczony jest tak ogólną czcią i zawarowany tak niewzruszonym zwyczajem, że potrzeba dużej dozy odwagi, by go krytykować.

W uznaniu tego systemu dzielimy dziś już wszystkie cnoty na *męskie i kobiece*, coraz bardziej naturalnie dział kobiecy bogacąc i w nadmiarze gorliwości wprowadzając tę podwójną buchalterję, nawet do książeczek dla dzieci i młodzieży. Jeden ze znanych na polu literatury dziecięcej autorów wygłosił z całym namaszczeniem taką naukę moralną:

«Brzydko, gdy chłopcy kłamią, ale stokroć
[gorzej]

I smutniej tacie i mamie,
Kiedy serce dziewczynki do kłamstwa się
|wdroży,
Kiedy dziewczynka kłamie.

Gdybyż chociaż na książce napisano,
że nie można jej dawać do ręki chłop-
com!

Zazwyczaj dwoistość tę staramy się usprawiedliwiać uwagą, że natura dziewcząt i chłopców jest odrębną i tej odrębności w wychowaniu zacierać nie należy — potocznie się wyrażając, że chłopcy — chłopcami — dziewczynki — dziewczynkami pozostać powinny. Niewątpliwie natury ich są odmienne i to tak dalece, że my nawet mimo najszczerzej chęci nie moglibyśmy ich zrównać. Nasza rozczulająca opieka nad prawami przyrody jest zupełnie zbyteczną. Czyż potrzeba na to specjalnych starań i zabiegów, żeby z ziarnka grochu nie wyrosła przypadkiem róża?

Właściwie przy obecnym systemie wychowania odrębność obu płci jest raczej teoretycznie uznanym pewnikiem, niż

praktycznie stwierdzoną prawdą. Hodując różnice sztuczne nie możemy wiedzieć dokładnie, jak objawiłyby się różnice naturalne, gdybyśmy im się swobodnie rozwinąć pozwolili.

Jedyną drogą do gruntownego zbadania w tym, jak i w wielu innych wypadkach, może być doświadczenie i obserwacje czynione na jaknajwiększej ilości osobników. Należałoby zebrać bardzo wielką ilość spostrzeżeń nad dziewczętami i chłopcami, rozwijającymi się w podobnych zupełnie warunkach i wykazać dopiero, o ile odmiennie manifestują się ich skłonności naturalne, gdy im się swobodnie objawiać dozwolimy.

Do takich spostrzeżeń obecnie zupełnie nie mamy pola, gdyż zwyczajem powszechnym i utartym jest, iż wychowawcy sami akcentują w postępowaniu swoim *a priori* przyjęte różnice, zanim wychowawcy mają sposobność zdradzić się z niemi.

Zarzucićby można, że celem wychowania nie jest wzbogacenie nauki, lecz rozwój pomyślny dziecka, że szczęścia jego dla eksperymentów poświęcać się nie

godzi, że pedagogja jest środkiem jedynie, i że ona wychowańcom, a nie oni jej służyć powinni—a przeznaczenie kobiety tak różnem jest od przeznaczenia mężczyzny, że dla szczęścia obojga i kierunku ich wychowania odmiennym być powinien.

Istotnie na wszystkie te uwagi zgodzićby się można, z pewnem co do ostatej zastrzeżeniem. Przeznaczenie kobiety na wielu punktach odmiennem jest od przeznaczenia mężczyzny, jednakże na wielu jest takim samem, i kto wie, czy tych ostatnich nawet nie jest więcej.

Dalej jeszcze należałoby wykazać, czy wychowanie, jakie chłopcy i dziewczęta dziś odbierają, odpowiada istotnie celowi, czy usposabia ich do życia dalszego, czy wreszcie różnica w postępowaniu wychowawców przyczynia się do szczęścia jednej i drugiej połowy rodzaju ludzkiego.

Nie zapominajmy przecież, że między dwiema odmianami ogólnego gatunku „człowiek” zachodzą i fizycznie także tylko różnice a nie przeciwieństwa, a jak organizm kobiecy nie mniej niż męski

potrzebuje światła, ciepła, powietrza i żywności, spoczynku i ruchu, tak też i natura moralna kobiety w głównych zarysach ma też same co i męska potrzeby.

Nie przeceniajmy więc tych przyrodzonych różnic i, prowadząc młode pokolenie, stosujmy się tylko do ich naturalnych potrzeb, zbaczając w miarę konieczności na prawo lub na lewo, lecz nie popychając ich w dwóch wprost przeciwnych kierunkach, pomnąc, że przecież w interesie ogólnego dobra — drogi ich jaknajczęściej łączyć i schodzić się muszą.

Mówiąc o przeznaczeniu mężczyzny i kobiety, zapominamy zbyt często o bardzo pospolitym fakcie i o najelementarniejszem prawie t. j., że natura przedewszystkiem skazała ich na wspólne życie. Świat męski i żeński nie stanowią dwóch odmiennych społeczeństw, lecz zlewa się w jedno, nie są to dwa wrogie obozy, lecz jedna i ściśła organizacja, którą wspólność celów i ogólnych przeznaczeń łączy, a tylko pomniejsze rozdzielają cechy.

Jeżeli płonnem byłoby usiłowanie zatarcia tych różnic, i nikt pragnąć nie może ani zniewieścienia mężczyzn ani też zmeżczyźnienia kobiet, to natomiast zaostrenie kontrastów, wytwarzanie się sprzeczności, których natura nie stworzyła, wydrażanie przepaści tam, gdzie jaknajwięcej mostów stawiaćby należało, tłumaczyć się może tylko dziwnem jakimś zaślepieniem.

Dążeniem wychowawców powinno być zarówno ze względu na indywidualne szczęście, jak i na ogólne dobro społeczeństwa, nadanie chłopcom i dziewczętom takiego kierunku, aby o ile możliwości jaknajlepiej rozumieli się wzajemnie i jak najłatwiej se sobą zgadzali.

Nie obawiajmy się zbyt mocno o zatarcie cech wrodzonych, natura oszukać się nie da; krępować ją, aby się nie wykołeiła, jest rzeczą zbyteczną.

Nie uprzedzajmy — przeciwnie pozwólmy, aby nam sama odkryła swe tajemnice, a wtedy większą zyskamy pewność, że nie sprzeniewierzymy się jej prawom. Dotychczas łatwiej nam przeciw niej grzeszyć, gdyż zamiast jej słuchać, sami

dyktujemy jej swą wolę i dalecy od wspierania przyrodzonego porządku rzeczy, usilną naszą pracę obracamy na utrzymanie nieustannej walki dwóch żywiołów.

Istotnie, w obecnych zwyczajach leży, że od samego już urodzenia traktujemy chłopców i dziewczynki w ten sposób, jakbyśmy ich chcieli sobie wzajemnie jaknajbardziej obcymi uczynić. Od urodzenia niemal utwierdzamy dzieci w tem przekonaniu, że dziewczynka i chłopiec to zupełnie niepodobne do siebie i nie mające ze sobą nic wspólnego istoty, od pierwszych chwil rozbudzenia się umysłowego, dzieci nasze czują, że wprost odmiennym podlegają prawom, że co uchodzi jednemu, potępiają u drugiego i na odwrót.

Trudno przewidzieć, jakie korzyści wychowanie z tego systemu odnieść może. Cóż zyskujemy na przykład na podsycaaniu w dziewczętach próżności, którą karcimy w chłopcach, na tolerowaniu niedołęstwa, podczas, gdy od ich braci

wymagamy przede wszystkim, aby sami radę sobie dawali.

Słyszając tu i owdzie jeszcze uwagi, że dla dziewczyny każda porcja nauki jest aż nadto wystarczającą, widząc to systematyczne rozpieszczanie, wydelikacanie, ochranianie córek, obok hartowania synów, przypuszczaćby można, że istnieje gdzieś jakieś ministerjum opieki nad głupimi i niedołącznemi kobietami.

Wiadomo jednak, że przeglądając najstaranniej wszelkie możliwe wykazy instytucji krajowych i zagranicznych, dla dobra ludzkości stworzonych, nigdzie z żadną podobną spotkać się nie można; mężowie zaś w obecnych czasach zbyt wiele mają do czynienia, aby się podobnej podejmować misji, wreszcie, jak się przekonamy, zupełnie nie posiadają kwalifikacji odpowiednich do tego.

Postęp, jaki się dokonał w ciągu bieżącego stulecia na korzyść kobiet, choć niewiele zmienił ich położenie, na wychowanie przynajmniej w pewnych kierunkach dodatnio oddziałał. Dziś już dość powszechnie przyjęta jest zasada, że rozum, pracowitość, energja, nauka

nie szpecą i nie wykolejają kobiety, lecz przeciwnie, czynią ją pożyteczniejszą społeczeństwu. Większa część zalet, niegdyś jako monopol wyłączny płci silnej uważana, dziś już i w kobiecie cenną bywa, i ani lękliwość, słabość i chwiejność woli, ani też bezmyślność i czułościowość nie są niezbędnym warunkiem jej doskonałości.

Zapewne, że praktyka nie zawsze z zasadami w zgodzie pozostaje, i że w teorii może niejedno jeszcze czas udoskonali, niemniej jednak znacznego bardzo na tem polu postępu zaprzeczyć nie można.

Dlaczego, gdy wychowanie sióstr w nową, udoskonaloną weszło fazę, w wychowaniu braci żadnych równoległych zmian nie zaprowadzono? Dlaczego z postępu pojęć jedynie dziewczęta korzyść odnosić mają, podczas, gdy chłopcy rozwijają się jeszcze na takich zasadach, jak gdyby w poglądach ogólnych żadna nie zaszła różnica.

Jeżeli uznaliśmy, że niektóre dawniej specjalnie męskie zalety, są zaletami ogólnie ludzkimi, i kobiecie również bardzo przydać się mogą, zrobmy jeszcze

krok dalej i zastanówmy się, czy między temi cnotami, które wyłącznie kobietom polecano, nie znalazłyby się i takie, które i dla mężczyzn pewną wartość przedstawiają.

Już to przedewszystkiem zbyt wczesnie wpajamy w dzieci przekonanie, że mężczyzna dlatego tylko, że się mężczyzną urodził, jest jakąś wyższą, uprzywilejowaną istotą. Wpływa to naturalnie niekorzystnie na dziewczęta, lecz nieporównanie więcej demoralizuje chłopców, przyzwyczajając ich do myśli, że może istnieć wyższość nie na osobistej zasłudze oparta. Równocześnie słyszą oni nieraz, że chłopcu uchodzi wiele rzeczy takich, na które nie pozwala się jego siostrze, co znowu utwierdza ich w przekonaniu, że ich wyższość z moralną wartością nic wspólnego niema. I tak: synowi wolno być zarozumiałym, szorstkim, opryskliwym, nieporządnym, hałaśliwym, niezgrabnym i gwałtownym — podczas gdy córkom zalecamy skromność, łagodność, porządek i dobre maniery.

Nie wiem, czy ludzkość dużo straci-

łaby na tem, gdyby malcy nie tłukli szklanek, nie rozbijali mebli, nie bili swych sióstr i umieli być uprzejmi, gdyby wyrostki nie zadzierali nosów i nie wdawali się w niemądre przechwałki; gdyby młodzi panowie nie słynęli z t. zw. kawalerskiego nieporządku, który do rozpaczyny doprowadza ich matki, żony i siostry; wreszcie gdyby mężczyźni umieli zapanować nad złym humorem i wybuchami gniewu, nie zatruli życia swemu otoczeniu.

Łagodność i cierpliwość jest niezmiernie potrzebną kobiecie, zgoda na to, ale dlaczegóż tylko kobiecie? Czy dla mężczyzny życie niema żadnych przeciwności? czy los ściele jego drogę samemi kwiatami? Czyż mężczyzna nigdy nie choruje, nie cierpi choćby na ból zębów? Czyż nie doznaje żadnych utrapień? Czyż wreszcie nieraz nie jest zmuszonym czekać wytrwale, pracować mozolnie?

Zapewne cierpliwość i łagodność doprowadzona do ostateczności, przechodzi w ślamazarne niedołęstwo i przed tą ostatecznością należy mężczyzn jak najusilniej chronić, ale czyż ślamazarne nie-

dołęstwo i kobiecie szkody nie wyrządza? Wszak to ono czyni, że słabe matki psują dzieci swoje, że niezaradne gospodynie trwonią same, nie wiedząc na co, pieniądz przez męża zapracowany, że pozwalają się oszukiwać, okłamywać, wyzyskiwać, okradać, a wreszcie za nos wodzić, na czym ani mąż, ani dom, ani dzieci nic nie zyskują.

Czy to wyłączone zalecanie cierpliwości dziewczętom wynika stąd, że natura lepiej je do niej usposabia? Bynajmniej!

Wiadomo przecież, że przeciętne kobiety wrażliwsze i więcej nerwowe są od mężczyzn; otóż wrażliwość i nerwowość są to warunki, które kształcenie cierpliwości niezmiernie utrudniają. Wiadomo również, że ułatwia je wyższy rozwój umysłowy, utarło się nawet wyrażenie „brać na rozum”, które doskonale maluje wewnętrzny proces, jaki się w człowieku wobec przeciwności dokonywa.

Otóż chcąc w kobietach cierpliwość wyrabiać, należy w nich właśnie najusilniej kształcić władzę, która tej pracy

wewnętrznej sprzyja, przez co niezmier-
nie zadanie im ułatwimy.

Z drugiej strony, gdy w mężczyznach
rozum cenimy wysoko i nad rozwojem
jego pracujemy, wymagajmyż, aby z nie-
go i w tym kierunku korzyść osiągali
i posługiwali się nim do opanowania
nierozsądnych wybuchów.

Specjalne znaczenie tych dwóch cnót
kardynalnych dla kobiety, wynika jedy-
nie ze zwolnienia od nich mężczyzny,
przez co uczyniliśmy go dla niej tak nie-
znośnym, iż jedynie przez olbrzymie pa-
nowanie nad sobą godzić się może z lo-
sem, który ją do niego przykuwa.

Zdanie to bynajmniej nie jest parado-
ksem, choć się nim pozornie wydaje.

Wiem, że w pewnej epoce życia po-
ciąg naturalny zawiązuje nici sympatyczne
między osobnikami płci różnej
i sprawia, że mężczyźni i kobiety pragną
zbliżenia się wzajemnego. Jestto tylko
dowodem, że najfałszywiej nawet skie-
rowane wychowanie praw natury przeła-
mac nie może, choć może je paczyć,
krzyżować i w miejsce naturalnych zdro-

wych warunków wytworzyć ułomne i kalekie.

Wychowanie, jakie obecnie istotom obu płci dajemy, sprawia, że ich wzajemny pociąg na jaknajkruchszych, jaknajlichszych opiera się czynnikach; jest też w większości wypadków chwilowem zwycięstwem zmysłów nad duchem i trwa przerażająco krótko.

Przypatrzmy się tylko dziewczętom i chłopcom w epoce poprzedzającej dojrzałość, to jest wtedy, kiedy ów naturalny pociąg nie rozbudził się jeszcze. Czyż można zaprzeczyć, że między temi dwoma dziecinnymi światami najzupełniejsza niechęć panuje? Wydelikaczone, nadmiernie roztkliwione, rozpieszczone, a przytem wystrojone dziewczynki patrzą na swych braciszków lub znajomych jak na bandę zbójów, czatujących jedynie na to, aby je kułakować, wyśmiewać, a przytem pognieść ich sukienki i włosy im wytargać. Chłopcy widzą w nich znowu jakieś niemądre cacka do niczego nie potrzebne, laleczki śmieszne w swej pretensjonalności i jak wszystkie lalki dopiero wtedy zabawne, gdy

potłuczone. Rodzice i starsi bronią im ze sobą przestawać wzajemnie, obawiając się, aby dziewczynki chłopięcych manier nie nabrały i wykwinnych nie zmarnowały strojów. Gdyby jednak toalety panienek mniej były wyszukane, a ich nerwy mniej wydelikaczone, może w towarzystwie rówieśników pozbyłyby się niejednej próżnотki i z niejednego wyleczyły kaprysiku, a wzajemnie wpłynęłyby cokolwiek na ucywilizowanie dzikięgo chłopięcego społeczeństwa.

Co się tyczy kobiet, na mocy licznych przykładów twierdzić mogę, że te, które się w towarzystwie braci wychowują, jeśli ich od nich żadnym murem chińskim nie oddzielono, a wiek niezbyt jest oddalony, nie mają ani tysiącznej części tych właściwych kobietom małostek, drobnostkowych próżności, zazdrości, pretensji, kaprysów, co inne, wyłącznie wśród kobiecego dojrzewające otoczenia.

Coś analogicznego prawdopodobnie dzieje się z mężczyznami. Obie płci we wzajemnem zbliżeniu odnieść mogą ważne bardzo moralne korzyści, jeżeli zbli-

żenie to nie odbywa się, jak dziś prze-
ważnie, jedynie na gruncie salonowej
kokieterji z jednej, a galanterji z drugiej
strony.

Zamiast wzajemnego wpływu i poro-
zumienia otwartego, jest dziś jeszcze
na porządku dziennym gra w chowane-
go, obustronne zastawianie sideł; za-
miast szczerej sympatji, drażnienie i ba-
łamucenie, mające na celu, nie wyja-
śnienie sytuacji, lecz doprowadzenie do
zupełnego odurzenia i ślepoty.

Miłość, powiadają—jest ślepa; może jest
nią nie zawsze, gdyby jednak nie bywała
ślepą, nieby zapewne nie skłoniło więk-
szości dzisiejszych kobiet i mężczyzn
do wiązania się ze sobą na całe życie,
na całą przyszłość. Dzisiejszych mówię,
gdyż nie wątpię, że to wszystko, co czy-
ni ich wspólne pożycie ciężkiem, trud-
nem, niebezpiecznem, jest jedynie wy-
nikiem bardzo poważnych błędów obec-
nego wychowania.

Gdy dwie istoty płci jednej zawiązują
ze sobą jakąkolwiek spółkę, postanawia-
ją zamieszkać razem, wspólnie podjąć
pewną pracę i zgodnie ją prowadzić,

bardzo starannie badają się wzajemnie, czy istnieje między nimi podobieństwo poglądów, dążeń, pojęć moralnych i przyzwyczajęń. Porządna i spokoj miłująca unikać będzie pożycia z hałaśliwą i do nieładu przywykłą—oszczędna nie wiąże się interesem z marnotrawną, cnotliwa i skromna z niemoralną i luźnych obyczajów, gburowata z łagodną, dobrze wychowana z nieokrzesaną i t. d.

Gdy jednak mężczyzna i kobieta łączą się nierozzerwalnemi węzłami (ściślejszemi niż jakiekolwiek inne) wychowanie skazuje ich z góry na domowy antagonizm dwóch sprzecznych żywiołów, i sprawia, że każda z nich w swej drugiej połowie spotyka się z objawami niezrozumiałemi, do których jej żadnych nie udzielono objaśnień. Co dla jednego hańbą, dla drugiego przechwałką — co dla jednego poniżeniem, to właśnie wyższością drugiego, co jest codziennem nawykniem jednej strony — stanowi nieszczęście drugiej.

A jednak czyżby nie można uniknąć tysiąca bolesnych zawodów, przejść

i przewrotów moralnych nareszcie, gdyby pojęcia moralne chłopców i dziewcząt na zbliżonych oprzeć zasadach?

Gdyby z jednej strony mniej nadmiernej pruderji i nieświadomości, z drugiej więcej przyzwoitości i delikatności uczuć wyrabiać? Gdyby w pojęcia jednej strony więcej wprowadzić tolerancji, a pojęcia drugich troszkę uszlacheć, podnieść i oczyścić?

Nie chodzi mi wcale o przyczernianie obrazu istniejących stosunków, wiem, że i przy obecnym trybie wychowania spotyka się dość dużo małżeństw zgodnych i przykładowych, że nawet zdarza się widzieć małżeństwa szczęśliwe, czasami nawet tak szczęśliwe, jak mogłyby być w lepszych warunkach wszystkie te, które nie interes lecz miłość kojarzy.

Któż może twierdzić, że sztuka umiejętnego postępowania z ludźmi żadnemu mężczyźnie na nic się nie przyda? Że takt, delikatność, wyrozumiałość, współczucie psychologiczne nie ułatwiłyby mu nieraz wybrnięcia z kłopotliwej sytuacji? A przedewszystkiem przecież,

jeżeli w kobiety przeznaczeniu leży zostać żoną, to i mężczyźni w większości wypadków trafi się być mężem, inaczej nie pojmuję, jak mogłyby kobiety przeznaczenie swe spełnić. Statystyka wykazuje, że dla mężczyzny szanse są jeszcze większe.

Dlaczegóż, kiedy dziewczętom aż do znudzenia o ich przyszłych mówimy obowiązkach, chłopcom nikt o przeznaczonej im roli nie mówi? Może oni żadnych moralnych kwalifikacji do nich nie potrzebują, są dobrymi mężami z intuicji, z natchnienia?

Gdyby i tak bywało niekiedy, to jednak praktyka okazuje, że trafia się częstokroć inaczej, a ponieważ warunkiem szczęścia małżeńskiego jest nie tylko dobra żona lecz i mąż dobry, w interesie społeczeństwa należałoby może i z tej strony podprzeć ową podwalinę społecznych związków — rodzinę.

Ci co utrzymują, że jedynym obowiązkiem męża jest pracować na rodzinę, zupełnie są podobni do takich, którzy sądzą, że jedynym obowiązkiem żony jest robić rachunki z kucharką i oszczęd-

dnie dom prowadzić. Jedni ograniczyć pragną żonę do roli gospodyni, drudzy męża do roli wołu roboczego i zgadzać się chyba muszą w przekonaniu, że małżeństwo jest związkiem wyłącznie na materialnych opartym stosunkach.

Ponieważ większość kobiet wychodzi za mąż i większość mężczyzn się żeni, dlaczegoż postępujemy w wychowaniu tak, jakgdyby małżeństwo było wyłącznie kobietę obchodzącą instytucją? Dlaczegoż dziewczętom każemy na nie patrzeć poważnie, a chłopcom lekceważyć je pozwalamy? Dlaczegoż dla córek naszych ma ono być powołaniem? dla synów nieprzewidzianym wypadkiem?

Istotnie mężczyźni młodzi żyją zwykle w przekonaniu, że się nigdy nie ożenią, że byłoby to z ich strony głupstwem, do którego ich chyba zbliżająca się starość i osamotnienie, lub też widoki na dobry posag skuszają.

W rzeczywistości żenią się jednak dość często, dość chętnie, w niezbyt późnym wieku, a nieraz zupełnie bezinteresownie.

Taka niespodzianka trafia się bardzo

wielu i tłómaczy się zupełnie wyjątkowymi okolicznościami, nie stanowiącemi bynajmniej ostrzeżenia dla drugich, którzy znowu śmieją się z małżeństwa póty, póki się ze swej strony w wyjątkowych okolicznościach nie znajdą. Żenią się dla majątku, czasem dlatego, że im się żywot kawalerski przykrzy, lub osamotnienie ich znudzi, jednakże wielu częściej, niżby się sami spodziewali — z miłości.

A jednak ileż razy przez proste nawyknienie, przez niewykorzeniony nałóg, niejeden z nich zrani swą towarzyszkę lekceważeniem tego, co ona czcić przywykła, profanacją jej ideałów, wyśmiewaniem jej najdroższych świętości.

Czy nie oszczędziłoby się obojgu wielu niespodzianek, starć, zawikłań i nieporozumień, gdyby ich kształcono w równem poszanowaniu wspólnego ich przeznaczenia, w tej samej czci dla uczucia, które ma łącznik między niemi stanowić?

Czyby nie należało roli męża przedstawiać chłopcom poważniej, nie z czy-

sto materialnej lub wyłącznie humorystycznej strony?

Czy nie zyskałoby się na tem, że przez głębsze poznanie i szczerze uznanie duchowej istoty kobiety, mężczyzna umiałby w umysł swojej żony wnikać i w potrzebie nią pokierować?

Czy nie stałby się on dla niej wtedy istotną, moralną, a nie jak dzisiaj wyłącznie prawie materialną podporą? Zyskałaby na tem żona — zyskałyby zaś przedewszystkiem dzieci.

Dziś, jeżeli który mężczyzna jest dobrym ojcem (a jest ich dość wielu, przyznać należy) to jest nim tylko na mocy bardzo dobrej woli i przez intuicję.

Nikt przecież dotąd chłopców na dobrych ojców nie wychowuje, tak jak się wychowuje dziewczęta na dobre matki, i dlatego też znowu w kierowaniu dziećmi kobiety zdradzają pewną umiejętność i konsekwencję, mężczyźni samouctwo wraz z jego błędami, łagodzonemi niekiedy przez szczęśliwe natchnienia.

Prawda, że wychowanie spoczywa o wiele więcej w ręku matek, niż w ręku ojców, prawda i to, że dzieci z tymi

ostatnimi wiele mniej przestają i o wiele mniej podlegają ich wpływom, żeby jednak usprawiedliwić zupełną ignorancję mężczyzn w tym kierunku, należałoby odjąć ojcom wszelką władzę nad dziećmi i usunąć je absolutnie od ich wpływu.

Zajęty pozadomową pracą mężczyzna osobiście nad wychowaniem swych dzieci pracować nie może, może jednak bardzo często paraliżować dążenie matki, krzyżować jej plany, niekiedy jednym niewłaściwym postępkem zniweczyć mozolną pracę wielu dni, tygodni, miesięcy.

Rzadkim jest niezmiernie typ człowieka, który umie właściwie postęпки swych dzieci oceniać, nie mówiąc już o stosowaniu odpowiednich środków lub przeprowadzaniu konsekwentnej metody.

Matka karci dzieci, gdy są niegrzeczne—ojciec, gdy mu przeszkadzają, co jak dobrze wiadomo, nie zawsze chodzi w parze z winą dziecka. Matka napomina, gdy dziecko przewini—ojciec, gdy jest w złym humorze, gdy interesy złe

idą, zwierzchnicy nie łaskawi lub podwładni nieposłuszni; wie on, jakie chce mieć dzieci,—ale ona tylko wie, jakimi one są istotnie.

Ojciec tworzy dla nich plany na przyszłość, ale nie zna ich naturalnych skłonności i rzadko raczy je uwzględnić. Najczęściej niema nawet pojęcia o współczesnych zdobyczach pedagogji, o jej postępie, o ulepszonych metodach i nowych poglądach. O wychowaniu wie tyle, ile z własnego pamięta dzieciństwa, i jeśli był tyle nieszczęśliwym, że go w piątym roku życia książkową zameczano pracą, gorszy się nieuctwem syna, który w tymże wieku swobodnie na drewnianym kiju hasa i o sylabizowaniu nie chce słuchać.

Niekiedy zresztą inaczej się dzieje. Matka kieruje wychowaniem dzieci, a ojciec bawi się niemi w wolnych chwilach i śmieje się z niewłaściwych postępków, poczytując to sobie za niewinny żarcik, jeśli dziecko odrywa od zajęcia, które mu wyznaczyła jego żona.

Niepodobna przecież dzieci wychowywać zdala od ojców, i wszelkie odjąć im

do nich prawa. Mają oni nietylko prawo lecz obowiązek przekazywania im tych cnót i zalet, które sami cenią, zakreślania im kierunku w życiu i wspierania ich rozwoju.

Jest nietylko ich prawem, lecz obowiązkiem — wglądanie w postępowanie matki, prostowanie jej błędów, lub zapobieganie jej niedbalstwu.

Jakże jednak uczynić to mogą, jeśli nie mają najmniejszego pojęcia o pedagogji, jeśli psychologja, a zwłaszcza psychologja dziecka jest dla nich już nie „du grec” boć czasem greczyznę znają wcale nieźle, lecz „du chinois.”

Jeśli rola mężczyzny w rodzinie sprowadzić się ma do zera, jeżeli ma on być w domu kwartalnym dostawcą pieniędzy, wołem roboczym, który w jarzmie chodzi i tylko dla dobrej paszy na obiad i na kolację powraca, to można powiedzieć, że obecny kierunek jego wychowania jest zupełnie właściwym, wystarczającym i odpowiadającym celowi.

Jeżeli jednak taki stan rzeczy nie jest ideałem społeczeństwa, jeśli nie dosyć dobrą jest gwarancją szczęścia jedno-

stek i pomyślnego rozwoju przyszłych pokoleń, to należałoby przede wszystkim kształcić i wychowywać chłopców w taki sposób, aby nie tylko zdolnych lekarzy, prawników, inżynierów, kupców — lecz także dobrych mężów i rozumnych ojców krajowi przysporzyć.

*

*

*

Jakąż tedy moralność wpajać winniśmy w nasze dzieci i jaką choćby w tym celu wyznawać sami?

Przedewszystkiem — jak zaznaczyłam, moralność nie *na fałszu* lecz *na prawdzie* opartą, na prawdzie w najszerszem jej rozumieniu, na zgodności i konsekwencji między myślą, słowem i czynem.

W tym celu jednakże należy nasze zasady moralne przystosować do natury ludzkiej, wymagań życia i warunków społecznych.

Nie żądamy cnót niewykonalnych, ażeby mogły być wykonywane. Liczymy się z życiem poważnie, i wszczepiamy w nasze dzieci w pierwszym rzędzie takie zasady, których ciągle zastosowywa-

nie i im samym i innym za ich pośrednictwem najwięcej trwałego szczęścia przyczyni.

Jeżeli zaś mówię o przystosowaniu moralności do natury ludzkiej i wymagań życia, to bynajmniej nie mam na myśli jakiegokolwiek obniżenia naszych etycznych aspiracji. Natura ludzka jest znacznie bogatszą, niż to zdawać się może nam, którzy ją nieustannie fałszujemy i kaleczymy, ubożymy i krępujemy. Człowiek ogromnie wiele znieść, ogromnie wiele dźwignąć, zdziałać i zdobyć może — jeśli tylko ma do tego dość silne pobudki.

W tem znaczeniu zasada „mierz siły na zamiary”, nie jest bynajmniej ułudnym poetyckim frazesem, lecz zupełnie konkretną prawdą życiową. Siły nasze istotnie wzmagają się i potęgują odpowiednio do zamiarów i każda wielka chwila dziejowa dostarcza na to dowodów; trzeba jednak, ażeby one równolegle do tych zamiarów rozwijały się i rosły i aby zamiar nie powstał wtedy dopiero, gdy siły już roztrwoniono.

Przez wzmocnienie i potęgowanie dodatkowych pobudek w naszych dzieciach wzmoczymy ich dzielność i odwagę. Nauczymy ich *chcieć*, chcieć nie na krótki, kilkudniowy termin, z uporem dziecka domagającego się nowej zabawki, lecz chcieć na całą długość życia ludzkiego, z niezłomną wolą męża, który wie dokąd i dla czego dąży. Nauczymy je także przełamywać trudności i w tem ich zwalczaniu widzieć swą chlubę i godność. Nauczymy je szanować siebie i cenić ludzkie dostojęństwo, nie tylko w sobie, lecz w każdej choćby najniższej stojącej istocie ich gatunku. Nauczymy je ochraniać swoje siły i zdrowie nie przez instynkt samozachowawczy, gdyż jak słusznie jedna z autorek angielskich zauważyła—instynkt ten w młodości nigdy zbyt silnej nie stanowi pobudki — lecz przez szacunek dla swoich ludzkich przeznaczeń, przez głębokie przejęcie się swemi życiowymi zadaniami.

Istotnie, czyż człowiek zamierzający wielkich dzieł dokonać, narazi się na to, by w 25 roku życia stanąć u schyłku moralnego i fizycznego bankructwa?

A dalej wpajać musimy w nasze dzieci przekonanie, że życie nie jest sposobnością do używania, lecz do działania, i że tylko takie zgodne z naszą naturą i przeznaczeniem działanie istotne szczęście przynieść może.

Zadaniem wychowania moralnego powinno być nie skrepowanie, lecz *zbogacenie indywidualności*, wytworzenie w niej tyłu czynnych i pozytywnie działających potęg, by ona kipiała życiem i stała się ogniskiem życia w swem otoczeniu. Śmiała i samodzielna myśl, gorące serce, dzielne ramię, wysokie dążenia, nieustraszona odwaga, niewzruszona wytrwałość i nieustrudzona praca, prawda w uczuciach, myślach i słowach, a mężne znoszenie wszystkich konsekwencji świadomie spełnionych czynów, miłość ogarniająca bliższe i dalsze kręgi myślących i czujących istot, — przeszłe i przyszłe pokolenie ludzi — oto cnoty, które w synów naszych wychowanie wpajać powinno.

A jakież cnoty przeznaczamy dla naszych córek? Dosłownie te same. I im także potrzebny rozum, odwaga i męstwo

i im również potrzeba prawdy w uczuciach i słowach, i dla nich wytrwałość i praca są jedyną uczciwą do celu wiodącą drogą.

Dlatego też należałoby jednym systemem wychowawczym objąć i chłopców i dziewczęta nasze, wychowywać je według wspólnych zasad ogólnie obowiązującej moralności i o ile tylko można, wychowywać je razem. Niechajby zbliżając się do siebie przy nauce i zabawie, przy wspólnych pracach i razem spełnianych pożytecznych i dobrych czynach, będących dla jednych i drugich przygotowawczem ćwiczeniem moralnem, uczyli się poznawać i szanować wzajemnie, cenić w mężczyźnie i kobiecie człowieka. Niechajby przywykali patrzeć jedni na drugich nie jako na młodzież do tańca, lub panny do flirtu, lecz jak na pomoc i podporę życia. A jednym i drugim należałoby tłumaczyć życiowe zjawiska i wyjaśniać, że miłość nie jest ani żakowskim wybrykiem lub kawalerską hulanką, ani salonową rozrywką i pokarmem dziewczęcej próżności, lecz źródłem życia, i że kto to źródło mać i za-

truwa, ten zatruiwa i mąci życie samo.

Jednym i drugim wreszcie trzeba by wpajać zamiłowanie do pracy. Niechaj nauczą się cenić ją samą przez się, a nie tylko jako środek do zdobywania wygod i przyjemności życia. Praca jest warunkiem zdrowia, ochroną od pokus, rękojmią równowagi moralnej, musi to być jednak praca świadoma swych celów i swej wartości, praca o jakiej Żmichowska mówi:

„Ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy, ofiarna przez datek i przez prawdziwą, widomą ofiarę. Dla bliźnich ten tylko użytecznie pracuje, kto im ciągle coś ze siebie i ze swego dawać może: pieniądź, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia!”

Żmichowska, u której znajomość życia i trzeźwość sądu łączyły się w przedziwną harmonję, ze wzniosłym polotem etycznych dążeń, zrozumiała to doskonale, że z bogacenie i spotęgowanie indywidualności ludzkiej nie tylko nie jest szkodliwem, ale jest wprost koniecznem, jeśli moralność nasza ma się stać altruistyczną i społeczną.

Wyraziła to najdosadniej w następującem zdaniu:

„Nam trzeba cnót siły, cnót tryumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia, żeby inni w nas wierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do królestwa swego; to samolubne zbawienie postów i umartwień, długich pacierzy i ciasnego życia, nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale żeby braciom twoim weselej było na świecie, módl się, żeby nieprzyjaciołom twoim jaśniej było w duchu, to Bóg policzy kiedyś cierpienia i przyjmie modlitwy twoje.”

A poza tem czegoż jeszcze dla podniesienia poziomu moralnego naszej męskiej czy żeńskiej młodzieży potrzeba?

Potrzeba jej nowych ideałów, ale nie naszą jest rzeczą to jej żądanie zaspokoić. Nowych ideałów nie fabrykuje się na zawołanie, nie robią ich starzy na użytek młodych pokoleń. Ideały młodzież sama stworzy.

Pielegnujmy tylko starannie roślinę ludzką, niechaj rozwija się i rośnie

w słonecznym blasku prawdy i dobra,
niech czerpie zdrowe soki z rodzinnego
gruntu, niech ją otacza ciepła i czysta
atmosfera uczciwych prac i szlachetnych
dążeń, a tak jak wiosna zdrowe drzewa
świeżem kwieciem okrywa, tak nieu-
chronnie rozkwitająca w pomyślnych
warunkach młodość blaskiem nowych
ideałów zakwitnie.

Z. 205980

KSIĄZKI DLA WSZYSTKICH

Kop.

1. Oszczędność — najłatwiejsza droga do bogactwa. —10
2. John Ruskin i jego poglądy, opracowała M. Bujno. —10
3. Trylogia historyczna H. Sienkiewicza. Szkic krytyczny przez St. Kozłowskiego. —20
4. Co powinniśmy wiedzieć o Adamie Mickiewiczu. —10
5. Moje leczenie wodą, streszczenie dzieła ks. Kneippa.
I. Zabiegi wodolecznicze. —10
6. — — II. Apteczka domowa. —10
7. — — III. Jak leczyć choroby. —10
8. Sen, bezsenność i środki nasenne, p. D-ra Kühnera. —10
9. Pieniądze ich powstanie, rozwój i stan dzisiejszy. —10
0. Pierwsze zasady muzyki, podł. Hellera, n. prof. G. Roguski. —20
1. Ignacy Krasicki i jego dzieła, przez F. Łagowskiego. —15
2. Monety wszystkich państw i ich wartość w rublach. —10
3. O zdrowiu i jego pielęgnowaniu. —10
4. Jak pielęgnować dzieci zdrowe i jak leczyć chore, streszczenie podług ks. Kneippa. —10
5. Obliczanie procentu; ułożył Z. Kamiński. —10
6. Z życia zwierząt: Zwierzęta ssące, podług Brehma. —10
7. Jak zachować zdrowie, urodę i młodość, przez E. Füllę. —10
8. Słowniczek wyrazów używanych w muzyce. —20
9. Słońce, podług K. Martina, opracował S. Bouffałł. —15
0. Krótka anatomia ciała ludzkiego, z wieloma rysunkami. —20
1. Gimnastyka domowa bez nauczyciela i przyrządów dla zdrowych i chorych, objaśniona 50 fig. —20
2. O komedjach Aleksandra hr. Fredry (ojca), przez Fl. Łagowskiego. —20
3. Pasożyty ludzkie wewnętrzne i zewnętrzne, opisał Dr. St. Gałęcki, z rysunkami —10
4. Przepisy właściwego zachowania się w towarzystwie. —20
5. Jak powinien zachować się chory na żołądek, napisał Dr. Wł. Sterling. —15
6. Grzyby jadalne i trujące z 32 tablicami kolorowymi, podług H. Blüchera, napisała M. Arctówna. —50
7. Oświecenie współczesne, skreślił Wł. Umiński. —10
8. Wojna o cześć kobiety, ze «Szkiców historycznych» Karola Szajnochy. —10
9. Nad wodą wielką i czystą. Z życia poetów nad Le-manem, napisał Ferdynand Hösick. —20
0. O samokształceniu, podług Pawła Hoche, napisał An-toni Krasnowolski. —20
1. O głosie i jego kształceniu, przez ks. K. Słoneckiego. —10
2. Nauka gry w szachy, opracował Z. Kamiński. —20
3. Jędrzej Śniadecki, życie i dzieła, nap. St. Brzozowski. —20
4. Jan Kochanowski, życie i dzieła, nap. Fl. Łagowski. —15
5. Fryderyk Chopin; jego życie i dzieła. —10
6. Podział pracy w naturze i w życiu człowieka, przez prof. E. Haeckela. —10

		<i>Kop.</i>
37.	Nauka szybkiego rachunku, ułożył Z. Kamiński.	—10
38.	Początki walki Słowiańsko-niemieckiej, napisał J. K. Kochanowski.	—20
39.	Dola i niedola Jana Sobieskiego, streścił M. Offmański.	—25
40.	Zwierzęta współbiednicze, napisał B. Dyakowski.	—15
41.	Hodowla ptaków śpiewających, napisał K. Kalinowski.	—15
42.	Maria Konopnicka. Szkic krytyczny, nap. St. Kozłowski.	—20
43.	Pogląd na rozwój dziejowy, przez H. Witkowską.	—15
44.	Ruch i ćwiczenia cielesne, D-ra R. Skowrońskiego.	—10
45.	Kazimierz Brodziński; życie i dzieła, nap. F. Łagowski.	—10
46.	O ideale doskonałości, odczyt Bolesława Prusa.	—10
47.	Woda pod względem fizycznym i chemicznym, napisał S. Bouffałł.	—10
48.	Miary i wagi wszystkich krajów na kuli ziemskiej.	—10
49.	Zasady estetyki, skreślił Michał Mutermilch.	—20
50.	Prawidła pisowni polskiej ułożone według uchwały Akademii Umiejętności w Krakowie.	—10
51.	Jak jest za oceanem, przez W. M. Kozłowskiego.	—15
52.	Stanisław Moniuszko, jego życie i dzieła, nap. Al. Ar.	—10
53.	Ekonomja polityczna czym jest i czego uczy, napisał D-r J. B. Marchlewski	—15
54.	Giełda, jej istota, cel i ustrój, napisał St. A. Kempner.	—10
55.	Cierpienia nerwowe, napisał Dr. W. Sterling.	—15
56.	Znużenie, odczyt D-ra Stanisława Kopczyńskiego.	—10
57.	Nauka o ludności, napisała Dr. Zofja Golińska.	—10
58.	Józef Kremer jako pisarz, filozof i estetyk, szkic krytyczny, napisał Stanisław Brzozowski.	—10
59.	O heraldyce czyli o znajomości herbownictwa, napisał J. K. Kochanowski.	—20
60.	Historja literatury polskiej w zarysie. Książeczka I. Literatura polska do w. XVI, napisał F. Łagowski.	—10
61.	Hipolit Taine i jego poglądy na filozofję, psychologję i historję, napisał Stanisław Brzozowski.	—20
62.	Hipolit Taine jako estetyk i krytyk, nap. S. Brzozowski.	—15
63.	O powietrzu, napisał S. Bouffałł.	—10
64.	Najdawniejsze wynalazki, skreślił Wł. Umiński.	—10
65.	Organizm jako społeczeństwo komórek, p. K. Kulwiecia.	—10
66.	Idea w sztuce, skreślił Michał Mutermilch.	—10
67.	Aleksander Świętochowski, skreślił Henryk Galle.	—15
68.	Wychowanie dziecka do lat 6-ciu, p. H. Wernica.	—20
69.	Fizyczne wychowanie dzieci podług Jędrzeja Śniadeckiego i in., napisała Antonina Kolberg-Brzozowska.	—15
70.	Alkoholizm i społeczeństwo, napis. Dr. Zofja Golińska.	—15
71.	Co jest filozofja i co o niej wiedzieć należy, napisał S. Brzozowski. Część I—do Kanta.	—20
72.	Zboczenia mowy: Niemota, bełkotanie, mowa nosowa, przez D-ra Wł. Ołtuszewskiego, z rysunkami	—10
73.	Ryszard Wagner i jego dramaty, według C. Mendesa, streścił A. Lange.	—20

74. Wierzenia dzikich ludów, według A. Lang'a — 15
75. Nauczycielstwo i pedagogja, przez J. Wabnera. — 20
76. Wpływ umysłu na ciało. Odczyt D-ra Dubois. — 100
77. Julian Klaczko. Sylwetka literacka p. F. Hösocka. — 15
78. Co jest filozofja i co o niej wiedzieć należy, napisał S. Brzozowski. Część II — od Kanta. — 15
79. Wychowanie dzisiejsze, podług M. Egidy. — 10
80. Z życia zwierząt: Ptaki, według Brehma, przeł. M. A. — 10
81. Polacy w Ameryce. Zarys obecnego stanu wychodźstwa polskiego, napisał S. Barszczewski. — 15
82. Narcyza Zmichowska, jej życie i dzieła, n. M. Bujno. — 20
83. Jak żyć aby być zdrowym, p. D-ra L. Wolberga. — 10
84. Historia literatury polskiej w zarysie. Książeczka II. Wiek XVI, napisał Florjan Łagowski. — 20
85. O widzeniu. O symetrii. Odczyty popularno-naukowe, prof. D-ra E. Macha (z rysunkami). — 10
86. O zaćmieniach słońca i księżyca, n. G. Tołwiński (z rys.). — 10
87. O siłach chemicznych, jako wstęp do chemji, podług D-ra A. Bernsteina, napisał W. U. — 15
88. Król Kazimierz Wielki, przez Lucjana Tatomira. — 25
89. Mikołaj Wierzynek, przez L. Tatomira. — 10
90. Józef Korzeniowski, jego życie i dzieła, nap. H. Galle. — 20
91. Drobną szlachta w Królestwie Polskiem. Studium etnograficzno-społeczne, napisał Wł. Smoleński. — 20
92. Kobieta czasów obecnych, napisała W. Marrené — 15
93. Rządy pruskie na ziemiach polskich 1793 — 1807, napisał Wł. Smoleński. — 15
94. Ziemia pod względem geologicznym, opracowała K. Skrzyńska (z 40 rysunkami w tekście). — 20
95. O kalendarzu i jego znaczeniu, nap. G. Tołwiński — 15
96. O pięknie w muzyce, podług D-ra E. Hanslicka — 30
97. Zasady mechaniki, jako wstęp do fizyki, opracował S. Bouffał (z 36 figurami). — 30
98. Fizjologja człowieka, napisał Dr. Wł. Sterling (z 33 rys.). — 25
99. Józefa Kremiera poglądy na sztukę i jej historję, napisał Stanisław Brzozowski. — 15
00. Nad jeziora włoskim brzegiem. Lago di Como i wspomnienia z życia Krasińskiego, p. Ferd. Hösocka. — 15
01. Wykład popularny o suchotach płucnych. Skreślił Dr. Stanisław Gatecki — 30
02. Działalność kobiet czeskich i ich udział w odrodzeniu Czech, napisała Antoszka. — 20
03. Dla rodziców, rady i wskazówki przy wychowaniu dzieci, napisała Izabela Moszczeńska — 10
04. Suchoty płuc i jak skutecznie z niemi walczyć można Odczyt D-ra Teodora Dunina — 10
05. Pielęgnowanie dziecka w pierwszym roku życia, p. dra med. Marję Vögtlin, spolszczył dr Z. Szymanowski — 20

106. Reformy w wychowaniu moralnem, p. I. Moszczeńską — 10
107. Gwiazdy, ich cechy, przyroda i ruchy, przełożył S. B. — 15
108. Humor staropolski w poezji XVI i XVII w., wybrał A. R.
109. Co każdy człowiek o higienie wiedzieć powinien.
I. Mieszkanie i odzież, napisała B. Marchlewska.
110. Dziecko nerwowe, opracował dr Władysław Sterling.
111. Adam Asnyk, przez Henryka Galle.
112. Historia literatury polskiej w zarysie. Książeczka III.
Literatura polska w pierwszej połowie w. XVII, napisał Florjan Łagowski.
113. Krótki rys fizyki. Część I. O siłach. (Dynamika), napisał Stanisław Bouffałł.
114. Grunwald, monografia historyczna, nap. M. Offmański.
115. Zarys historii literatury niemieckiej. Część I. Literatura niemiecka od czasów najdawniejszych do Klopstocka, napisał Waldemar Osterloff.
116. Ubezpieczenia życiowe, napisał B. Danielewicz.

Wkrótce ukazać się następujące tomiki:

- Krótki rys fizyki. Cz. II, III, IV, V, napisał S. Bouffałł.
 Eliza Orzeszkowa, przez Jana Nitowskiego.
 Czechy i naród czeski. Część I. Opis Czech, napisała Antoszka II. Historia Czech.
 "Człowiek gienjalny", nap. "H. Türk, spolszczył J. Muklanowicz.
 Stanisław Wyspiański jako poeta, nap. Stanisław Brzozowski.
 Starożytna Grecja, opracowała S. Sempołowska.
 Ignacy Dąbrowski — Stefan Żeromski, napisał St. Brzozowski.
 Kazimierz Tetmajer, napisał St. Brzozowski.
 Społeczeństwo i historia, podług Tarde'a, opracował A. Lange
 Minerały, opracowała K. Skrzyńska.
 O niezniszczalności siły we wszechświecie, z A. Bernsteina.
 O życiu i budowie rośliny, według D-ra A. Bernsteina, opracowała M. Arctówna.
 O obrocie ziemi dokoła osi, według D-ra A. Bernsteina, opracował S. Bouffałł.
 Wulkany, podług K. Martina, opracował S. Bouffałł.
 Trzęsienie ziemi, według W. Meunier, opracował S. Bouffałł.
 Jan Sniadecki, życie i dzieła, napisał Stanisław Brzozowski.
 Dusza dziecka, podług Dr Fleury, opracowała Z. Sennewald.
 Wychowanie wychowawcy, nap. Salcmann, przeł. Z. Sennewald.
 Co matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna, napisała I. Moszczeńska.
 Psychologia — S. Brzozowskiego
 O kształceniu młodzieży w poczuciu obowiązku, przez Adlera przełożył W. Szukiewicz.
 Powietrze i słońce jako środek leczniczy.
 Geografia pięciu części świata, napisała Koporska.

DRUKIEM M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

Дозволено Цензурою. Варшава, Ноября 6 дня 1901 г.

2279

CBW

dubl. do sygn.

z. 209989

Z. KOWERSKA

WYCHOWANIE MACIERZYŃSKIE

Dzieło premjowane na konkursie «Bluszczu.»

Wydanie II.

Cena Rb. 1 kop. 20.

Treść: Obowiązki matki w czasie ciąży. — Okres niemowlęcy. — Wychowanie fizyczne. — Zabawki. — Wady. — Charakter. — Nauczanie początkowe. — Kary i nagrody. — Pieśszoty. — Posłuszeństwo. — Nauczyciele domowi. — Zaufanie do rodziców. — Kształcenie poczucia piękna. — Roboty ręczne. — Formy towarzyskie. — Wpływ ojca. — Wpływ matki. — Szkoła. — Pensje. — Przejście z dzieciństwa do młodości. — Wychowanie zawodowe. — Zdrowie. — Gospodarstwo domowe.

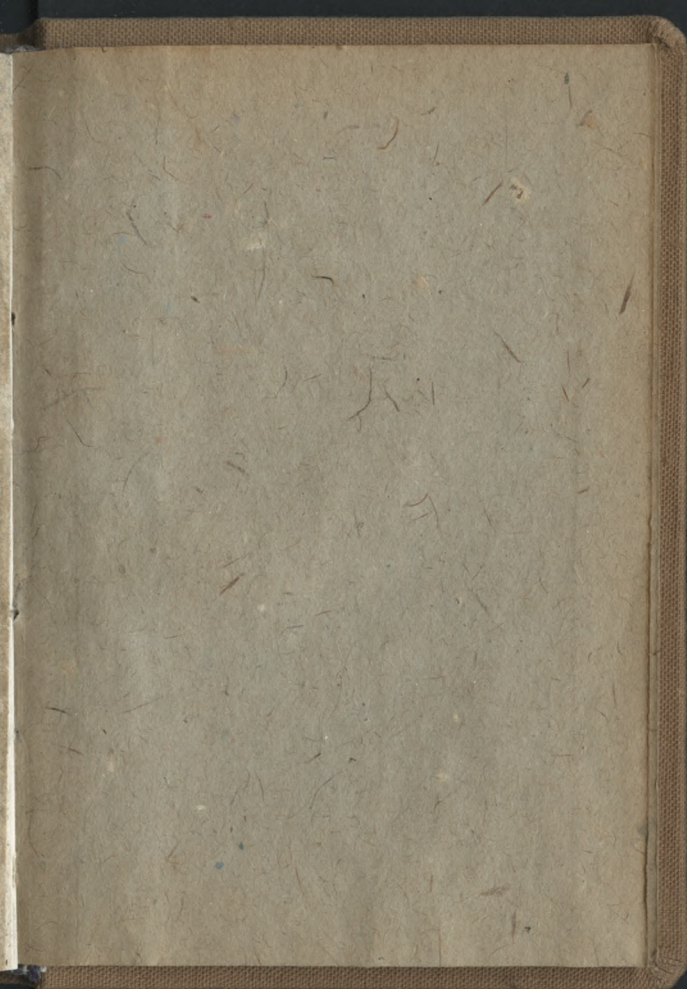
F. SCHOLTZ

WADY CHARAKTERU DZIECIĘCEGO I ICH LECZENIE,

PRÓMACZYŁ J. WŁ. DAWID

Cena kop. 90.

Treść: Prawo dziedziczenia. — Ogólne zadania wychowawcze. — Cechy dziecka psychicznie zdrowego. — Podział wad dziecięcych. — Wady w dziedzinie uczuć. — Wady w dziedzinie umysłu. — Wady w dziedzinie woli. — Samobójstwo u dzieci. — Wzajemne oddziaływanie umysłu i ciała. — Neurastenia mózgowa u dzieci. — Zwyródnienie psychiczne, czyli t. zw. obłęd moralny u dzieci.



000000